

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 22 VI. 1952 r.

Nr 25 (39)

W NUMERZE:

J. WILHELM — Obrachunek z epoką imperiaizmu F. FENIKOWSKI — Stocznioy...
K. R. ZAWADZKI — W 11-tą rocznicę hitlerowskiej napaści na ZSRR
J. SERRAVEIRA — List z bolszewickiego piekła J. Z. JAKUBOWSKI — Adolf Dygasiński
N. GĄSIOROWSKA — Książka o życiu i działalności Prezydenta Bieruta
S. PIĘTAK — Dawne lata A. ROLLAND — Druga rezerwa...
J. STAWIŃSKI — Gdy prawda grozi zagładą J. K. MACIEJEWSKI — Emil Reszka...
I. MATYSIAK — „Życie za dźwięk” J. SKAŁSKI — Trochę wrażeń z finału

ZOFIA BARCHANOWSKA

»SAMI NIE WIECIE, CO POSIADACIE«

Henryk Trojanowski
sekretarz POP. PZPR.

ROK 1951 w historii naszej spółdzielni produkcyjnej należy ocenić nie jako rok postępu, lecz wprost przeciwnie. Ja, jako sekretarz podstawowej organizacji partyjnej, nie starałem się uniknąć w żywotne sprawy spółdzielni, jak to czyniłem w 1950 roku. Słusznie też tow. Guzanek na zebraniu wytknął mi, że oddział wojska bez swojego kaprała nie pokona wroga nawet słabszego. Ja przesiadłem do pracy w Gminnej Radzie Narodowej. W większości wypadków nie byliśmy my, partyjni, kierownikami spółdzielni i gromady. Kierownictwo naszych organizacji masowych, ZMP, Kola Gospodyń, LZS, TPPR objęli niewłaściwi ludzie, którzy nie kontrolowali doprowadzili te organizacje do rozkładu. A w 1950 roku odczuwano się pracę każdej organizacji, celem dla wszystkich było dobro spółdzielni. Rok 1951 przyniósł zanik czujności wobec wroga klasowego, który na każdym kroku dawał o sobie znać, próbując odciągnąć ludzi od pracy, strasząc członków spółdzielni nową wojną, powtarzając brednie nadawane z New Yorku, Londynu i Madrytu.

Z jakiej to spółdzielni pisze taki samokrytyczny list sekretarz organizacji partyjnej?



Foto J. K. Maciejewski

Aż się nie chce wierzyć — ze sławnego Boryszewa. Sławnego już w pierwszym roku zespolowej gospodarki, w roku 1950. Prasa i radio wymieniały wtedy Boryszewo jako jedną z najlepszych spółdzielni produkcyjnych w Polsce. Poświęcono mu reportaże, artykuły i audycje. Józef Morton opisywał w broszurze wrażenia chłopca, zachwyconego zimą 1951 r. sukcesami spółdzielni.

Sama pamiętam — kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Boryszewa późnym wieczorem w sierpniu 1950 r. — płończyły jeszcze dwa światła — reflektor nad pracującą młotkarnią i lampka elektryczna nad kinem, w którym grano „Wesoły jarmark”. I tam i tu byli spółdzielcy. Takim to życiem pulsowała spółdzielnia.

Cóż więc stało się w Boryszewie w 1951 roku, że sekretarz organizacji partyjnej, Henryk Trojanowski, ocenia go „nie jako rok postępu”, nie jako krok naprzód, ale jako krok w tył? Czy na rację w takiej ocenie i samokrytyce?

Gdyby stanowisko Trojanowskiego w całej rozciągłości odpowiadało prawdzie, oznaczałoby to, że poniesiona została klęska również, a może przede wszystkim w gospodarce spółdzielni.

List Trojanowskiego zawiera aluzje, wskazujące na te związki i konsekwencje. Ale jest ich niewiele, właściwie dwie.

— Opóźniono pielienie buraków (bo ludzie nie wyszli na czas do

roboty), poniesiono przez to stratę około 5.000 złotych.

— Dniówka obrachunkowa spadła z 25 złotych (w r. 1950) na 16 złotych w r. 1951.

Otóż, czy sprawa buraków występuje po jakiejś dywersji politycznej, czy też po jakichś przegranych gospodarce? Bo bardziej wyrazne rozprzężenie polityczne przypada na okres jesienny, właśnie wówczas, kiedy nawet na oko już orientowano się, że dniówka obrachunkowa będzie mniejsza.

Z gospodarką spółdzielni działa się zatem w roku 1951 coś specjalnego. Przechodziła jakieś wstrząsy. Chcę więc — jako inżynier — rolnik na materiale obszernego listu Trojanowskiego — przeanalizować ów rok od strony bazy rolniczo-gospodarczej, od strony rozwoju produkcji.

*

Dłatego wróćmy jeszcze na chwilę do roku 1950, który zdecydował o sławie Boryszewa. W grudniu 1949 roku 14 średniorolnych chłopów podpisało statut Rolniczego Zespołu Spółdzielczego. Wiosną wstąpiło nowych dziesięciu członków, w ciągu roku osiem, wiosną 1951 roku jeszcze 6-ciu.

Sredniacy wnieśli piętnaście krów do zespołowej hodowli. Wybudowano nowoczesną oborę na 60 sztuk bydła, w ciągu roku dokupiono jeszcze 19 krów.

Z kredytów otrzymanych od państwa zakupiono żniwiarkę, kosiarkę, wozy i uprząże dla koni, kopalnię do ziemniaków i parnik.

Prace polowe wykonano w terminie, ludzie pracowali z zapałem. Żyła zebrano przeciętnie 32 kwintale z hektara. Dobre były plony buraków cukrowych — ponad 300 kwintali. Same warzywa przyniosły przeszło 15.000 złotych dochodu.

W rocznym obrachunku dniówka wyniosła 25 zł., a więc prawie dwa razy tyle, ile przeciętna wszystkich spółdzielni w kraju.

Ten pierwszy rok gospodarczego startu przyniósł wzmocnienie życia społecznego i kulturalnego. Szkoła zostaje przekształcona z cztero- w 7-klasową. Powstaje przedszkole i ośrodek zdrowia. Powstaje Koło Gospodyń, aktywizuje się ZMP, „Podstawowa Organizacja Partyjna jest prawdziwym wówczas kierownikiem życia gospodarczego i kulturalno-organizacyjnego spółdzielni i całej gromady”. Założone zostaje stałe kino i biblioteka. Książki i filmy cieszą się powodzeniem. Młodzież daje przedstawienia. Kilku spółdzielców wysłano na leczenie sanatoryjne. Jesienią z wyieczki na Ukrainę wraca przewodniczący spółdzielni.

Konczy się rok 1950. Jakże pogodnie i jakże zachęcająco na nowy rok. Dniówka — 25 zł., przewodniczący oglądał kolchozy na Ukrainie, wzbogacił spółdzielnię o radzieckie doświadczenia, o zapal radzieckich ludzi, wiosną znów przybędą nowi członkowie.

*

Łatwo domyśleć się od czego zaczęła analiza nowego roku inżynier — rolnik. Od planów. Tak właśnie zaczęłam i... zdradziłam. Powiat zabiera sekretarza, zabiera



Foto J. K. Maciejewski

najdzielniejszych chłopów, osłabia (jak wynika z listu) opiekę nad zempowcami, koncentruje uwagę na wielu nowych spółdzielniach gminy Niegłosy i powiatu płockiego — spokojny o dzielne i sławne Boryszewo...

A w Boryszewie plany na rok 1951 przewidywały:

- 1) komasację gruntów i wprowadzenie prawidłowego płodozmianu,
- 2) rozszerzenie bazy paszowej,
- 3) obok powiększenia hodowli krów założenie hodowli świń i budowę chlewni.

Plany zatem na rok 1951 zapowiadały nie krok naprzód, ale skok naprzód. Nowy rok miał być nie powtórzeniem produkcji z poprzedniego roku, ale istotnym przewrotem, budującym fundamenty gospodarki spółdzielczej jakościowo całkowicie nowej w organizacji i technice produkcji.

W tym stanie rzeczy czego zabrakło? Wydaje mi się na podstawie listu, że od góry do dołu, od powiatu do spółdzielców w planach nie doczytano do końca rozmiaru przemian i przełomu. A co za tym idzie, nie uświadczano odpowiednio spółdzielców i nie mobilizowano jak należy do tak wielkich bitew, w jakie oni weszli. Spółdzielcom nie została ukazana w pełni ani wielkość zadań, ani związane z ich realizacją przejściowe trudności i straty. Nie dobrożono ich na krytyczne momenty i pozorne klęski w należyty hart i odporność polityczną.

Armia spółdzielcza (bez kaprała) weszła w 1951 rok z rachubą na

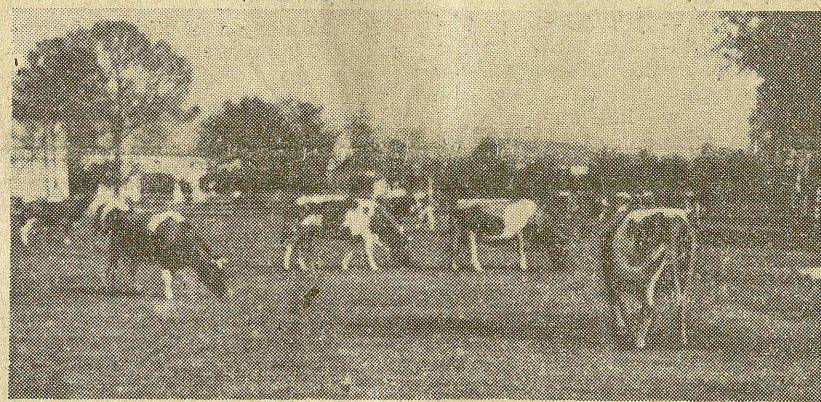


Foto Grolowski

8000 dniówek, a wychodziła z niego po 12.000 dni walc.

Piękne plany okazały się więcej niż piękne — wielkie i przełomowe.

*

Bo co oznaczała komasacja gruntów? W 1950 roku spółdzielnia gospodarowała na 300 kawałkach ziemi. Od jesiennych siewów, na scalonych w jeden areal 325 ha, wprowadzono gospodarkę płodozmianową, pozwalającą rozplanować zmianowanie roślin na cały szereg lat. Stworzono także następstwo kultur po sobie, przy którym najbardziej są uwzględnione wymagania przyrodnicze roślin i warunki zewnętrzne: klimat, gleba i rzeźba terenu.

Komasacja gruntów stwarzała możliwości najlepszej organizacji pracy. Odpadała strata czasu na przechodzenie od działki do działki, łatwiejsza stawała się pielęgnacja, sprzęt, zwózka plonów, czy wywożenie obornika. Uprawnianie w jednym polu tej samej rośliny pozwalało na powierzenie każdej brygadzie opieki nad jedną rośliną od siewów aż do sprzętu, na otwarcie pola dla współzawodnictwa pomiędzy brygadami.

Przejście do gospodarki wielkopolowej umożliwiało pełne zastosowanie maszyn do uprawy gleby, do pielęgnacji, nawożenia i sprzętu roślin. Mijał bezpowrotnie okres, kiedy traktor siedział na trzysta drobnych działek! Ile czasu i paliwa zużywały wówczas maszyny na dojazdy czy nawroty. W uprawie międzyrzędowej liczone przy rozdrobnionych działkach tylko na ludzkie ręce — teraz otworzyła się perspektywa poważnego ulżenia sobie w pracy przy pomocy wielorodowych opelczy, obsypników, bron ciągnikowych itd.

Doniosłość tego dzieła jest aż nadto wymowna. Boryszew wprowadził wielopolową uprawę i prawidłowy płodozmian stawał dopiero teraz na fundamencie prawdziwie spółdzielczej gospodarki. Dopiero teraz otwierała na wszystkich przyszłe lata perspektywę rozszerzonej — socjalistycznej — produkcji.

Ale ten pierwszy rok wielopolowej gospodarki — po komasacji — zapowiadał przejściowe obniżenie plonów tam wszędzie, gdzie np. pszenica następowała po pszenicy w jej dawnym szlaku, gdzie burak po buraku itd. Płodozmian regulowany w tym roku pełną swą wartość

mógł okazać dopiero w następnym. To też z przejściowymi stratami należało ośwoić spółdzielców, równoważąc je w świadomości, równomiernie dla przyszłej stałej i niezachwianej już perspektywy urodzajów. A tego właśnie zabrakło.

*

Co oznaczało rozszerzenie bazy paszowej? Wprowadzono w Boryszewie system trawopolny Williamsa — owoc wyieczki na Ukrainę.

W porównaniu z rokiem 1950 podejmowano już nie krok, ale skok — naprzód — poprzez płodozmian zbożowy, pastewny czy okopowy, dochodząc do systemu polowo-ląkowego, opierającego się na prawidłowym zmianowaniu w dwu płodozmianach: polowym i pastewnym. Było to rewolucyjne przedsięwzięcie. Bawiem po pierwsze — przez wprowadzenie do uprawy wieloletnich mieszanek roślin motylkowych z trawami założono podstawy trwałej bazy paszowej dla rozwijającej się hodowli. W perspektywie zyskiwano setki kwintali dobrego, wysokobiałkowego siana i zielonki, nie tylko w jednym roku, ale w szeregu lat następnych.

Po drugie — płodozmian Williamsa różni się zasadniczo od kapitalistycznej uprawy, w której na pierwszym miejscu stawia się nie podniesienie urodzajności pól, ale doraźne zwiększenie dochodu z zie-

czy nie krok nawet, a skok wprzód spółdzielni. Drugą wypełniają nie spodzianki strat i ograniczonych zbiorów. Ta druga akcja nabrzmiewa niepokojem i rozczarowaniem. W niej to macza rękę wrog, strasząc członków spółdzielni nową wojną i podsycając zwątpienia aż do wrażeń klęski.

Pod koniec roku akcja ta osiąga punkt kulminacyjny.

„Na zebraniach omawiane są najczęściej sprawy białe — pisze Trojanowski — omija się sprawy istotniejsze. Zarząd Kola ZMP interesuje się tylko pracami polowymi i oborą, a zaniedbuje całkowicie pracę kulturalną i oświatową. Młodzież nie zajmuje się ani zarząd gminny, ani powiatowy ZMP. Nasza Podstawowa Organizacja Partyjna nie demaskuje i nie wskazuje wrogów i mściwicieli, jak w 1950 roku, kiedy wskazywano ich na zebraniach, a często nawet w prasie. Światlica u nas jest, lecz stoi prawie bezużytecznie, gdyż wszelkie zebrania i imprezy odbywają się w szkole”.

Trojanowski tłumaczy te akcje samymi tylko osłabieniem czujności politycznej; członkowie tracą ochotę do rozwijania życia kulturalnego, część z nich ulega wrogowi klasowemu.

Zestawmy te obserwacje z sytuacją gospodarczą.

Otóż jesienią wiadano już nie tylko o tym, że dniówka obrachunkowa będzie mniejsza, ale również dlatego. Ta wiedza była wyraźnie jednostronna. I w tej jednostronności umacniał spółdzielnię wrog klasowy. Z drugiej strony zabrakło skutku. Spółdzielcy plany zrealizowali a nie bardzo wiedzieli jakich są rozmiarów i jakiej doniosłości.

Wiedzieli natomiast, że wymłócą no mniej zboża, że rozszerzono stanowiska paszowe, a korzyść okazała się niewielka, że cielęta i prosiaki nie dały jeszcze dochodu, a spółdzielnia ponosiła ciężar ich utrzymania, że budowa chlewni kosztowała w dniówkach i gotówce, że dniówek było o połowę więcej niż zaplanowano.

A przecież spółdzielnia wychodziła na 1952 rok z olbrzymim dorobkiem. Po pierwsze — po skomowaniu ziemi z wyrównanym płodozmianem, co oznaczało możliwość staranniejszej obróbki, większej mechanizacji, lepszej organizacji pracy.

Po drugie — z rozszerzoną hodowlą krów — to znaczy, że obok 40 krów dojnych stanąć miało w 1952 roku do dojnienia nowych 23.

Po trzecie, z założoną hodowlą trzody chlewniej, z kapitałem macior i prosiąt.

Po czwarte — z możliwościami dalszego rozwoju trzody chlewniej w oparciu o zbudowane chlewnie.

Po piąte, z rozszerzoną zwycięską własną w 1951 roku (na tle pogorszonej sytuacji w kraju) bazą paszową i ugrunтовaniem jej na szereg lat.

Po szóste — z wprowadzonym na stałe najbardziej racjonalnym systemem gospodarki polowej — płodozmianem Williamsa.

Czy nie są to sukcesy, nie jest to krok naprzód?



Foto J. K. Maciejewski

A weźmy ów rok od strony „klęski”. 12.000 dniówek? Cóż one oznaczają? Pracowali ludzie? Pracowali o połowę więcej ponad zakreślony plan. I tą właśnie pracą osiągnęli nie proste tylko powtórzenie roku 1950, ale stworzyli trzy

Przez cały więc rok 1951 toczą się dwie akcje. Jedną, którą wien-

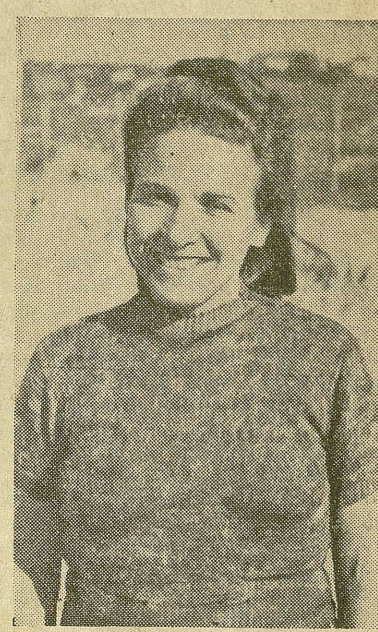


Foto J. K. Maciejewski

nowe, na wyższy etap dźwigające spółdzielnię dzieła: 1) wielkopolowy płodozmian, 2) rozszerzenie bazy paszowej, 3) rozszerzenie bazy hodowlanej.

Owe 12.000 dniówek mówi o jednym z powodów osłabienia tętła ideologicznego — politycznego życia spółdzielni.

Jest to powód rzeczowy a nader wymowny. Spółdzielcy dodali półwę dniówek do zaplanowanej pracy. Oddali więc czas, jaki normalnie zostawał im po pracy. Tę sytuację wykorzystać próbował wrog. Znajdował się wszak pod mniejszą kontrolą, przy osłabionej czujności, nie był wskazywany i demaskowany.



Foto J. K. Maciejewski

A jego przeciwnik — spółdzielcy — osłabił w organizacyjnej i kulturalnej działalności. Tak, to prawda. Ale przecież najważniejszą walkę z wrogiem i z sobą stoczyli spółdzielcy na polu, w oborze i chlewni. A tu bili się niezmordowanie. Niedostatecznie objaśniali o wielkości i perspektywach planów, nie dostatecznie ostrzegali przed ich trudnościami, pozornymi i przejściowymi stratami, wreszcie zagubieni i gubiący się w rozmiarach prac — a jednak wytrwali do końca. Przekroczyli 8.000 dniówek, przekroczyli 10 tysięcy, przekroczyli 12 i... plany wykonali. Dokonali skoku, a mieli wrażeń klęski. Nie wymawiali pracy — 12.000 dniówek. Ale nie byli z nich dumni. Bo wrog mówił — mniejsza dniówka.

A co mówi rachunek? W roku 1950 — 25 zł., w 1951 — 16 zł. Ale jeśli o połowę więcej wypracowano dniówek, to znaczy, że na każdego przeciętnie wypadło o połowę więcej, tak, jakby brał nie 16 a 24 złote. Czyli, że zanieżenie poprzez dniówkę dochodu członków było praktycznie b. małe, a doliczyć trzeba perspektywę powstałe z komasacji, rozszerzenia bazy paszowej, wybudowania chlewni oraz umocnienia hodowli krów i trzody chlewniej.

Samokrytyka Trojanowskiego jest więc słuszną, ale źle postawioną.

Rok 1951 był rokiem postępu, krokiem naprzód w bazie, w wysiłku ludzi, w budowaniu podstaw wyższej wydajności pracy — ale — i tu dopiero miałyby rację Trojanowski — był rokiem nieświadomości wielkości dzieła. Taką dopiero samokrytyką jest słuszną: „sami nie wiecie, co posiadacie” — tego braku spółdzielcom Boryszewa w 1951 r.

Zofia Barchanowska

KAZIMIERZ R. ZAWADZKI

W jedenastą rocznicę hitlerowskiej napaści na ZSRR

HISTORIA nie zna bardziej gigantycznych zmagani niż te, jakie w czasie Wielkiej Wojny Narodowej stanęły przed Związkiem Radzieckim. Ołbrzymie terytoria, na których w czasie pokoju żyła i pracowała 88 milionowa ludność radziecka, dostały się pod okupację hitlerowskich najeźdźców. Straty wojenne, poniesione przez radziecką gospodarkę narodową, wyniosły około 679 mld. rubli. Zadane kapitałowe straty państwo nie przeżyłoby takiego ciosu i wstrząsu. Związek Radziecki jednak, wbrew oczekiwaniom i podstępnyemu knoutom angielsko-amerykańskich imperialistów, wyszedł z wojny zwycięski, jeszcze bardziej zjednoczony i silny.

II wojna światowa w odróżnieniu od I wojny, już od chwili napaści Japonii na Chiny i hitlerowskiej III Rzeszy na Czechosłowację, a następnie we wrześniu 1939 r. na Polskę, miała, jak to wykazał J. Stalin, wyznacznicy, antyfaszystowski charakter. Wystąpienie Związku Radzieckiego przeciwko państwu osi spotęgowało jeszcze bardziej antyfaszystowski charakter wojny. W rezultacie zaś przeciwdziałając dalekosiężnej stalinowskiej polityce reakcyjnej rządu USA i W. Brytanii, wbrew swym planom, zostały zmuszone do prowadzenia wspólnie z ZSRR wojny przeciwko hitleryzmowi.

Związek Radziecki postawił sobie w antyfaszystowskiej wojnie następujące cele: zniszczenie faszystyzmu, wyzwolenie narodów Europy z hitlerowskiej niewoli, umożliwienie im wprowadzenia demokratycznego, postępowego ustroju oraz uwalnienie długotrwałego sprawiedliwego pokoju. Reakcyjne klasa monopolistyczna Wall Street i City natomiast nie chciały bynajmniej rozgromienia i zniszczenia faszystyzmu. Dążyły jedynie, do ostatecznego niebezpiecznego niemieckiego i japońskich konkurentów. Przez wszystkich jednak pragnęły klęski ZSRR.

Dlatego też nawet w czasie wojny amerykańsko-angielscy imperialiści montowali nadal antyradziecki blok, skupiając wszelkie międzynarodowe siły reakcji. Od jesieni 1941 roku oraz w latach 1942 — 1943 potajemnie, za plecami Związku Radzieckiego rządy tych państw spiskowały w poszukiwaniu kompromisu z przedstawicielami hitlerowskich Niemiec. (Np. w Lizbonie w 1941 roku wysoki oficer angielski Eitken — syn lorda Beaverbrook'a oraz w Szwajcarii w 1943 roku Allen Dulles — brat Johna Foster Dulles'a). Innym przykładem tych zdradzieckich knołów było, przedstawienie w Waszyngtonie i Londynie w jesieni 1942 roku w okresie gigantycznych walk pod Stalingradem, memorandum Winstona Churchilla. Churchill uzasadniał w nim konieczność natychmiastowego utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy z udziałem hitlerowskich Niemiec. Odrzucając otwarcie II frontu aż do chwili, kiedy w 1944 roku hitlerowska III Rzesza została już izolowana, kiedy trzon jej sił zbrojnych związany na radzieckim froncie niezdolny był do prowadzenia aktywnej obrony, do chwili kiedy stało się jasne, że Armia Czerwona własnymi siłami zdobędzie Berlin, zdola okupować Niemcy i wyzwolić Francję nie było bynajmniej rzeczą przypadkową. Drugi front nie był wymierzony przeciw Niemcom.

Wielka Wojna Narodowa jeszcze raz wykazała potęgę Związku Radzieckiego i niezwykłość Czerwonej Armii. Wojna ta udowodniła, że partia Lenina i Stalina, będąc kierowniczą siłą narodów radzieckich, stanowiła jednocześnie przykład poświęcenia i heroizmu w walce o ojczyznę i pokój.

Historyczne zwycięstwo Czerwonej Armii nad hitlerowskimi Niemcami i ich satelitami nie zostało łatwo zdobyte. W przemówieniu 3 lipca 1941 roku, wskazując na niebezpieczeństwo zagrażające Socjalistycznej Ojczyźnie, Józef Stalin mówił o konieczności przestawienia całego życia na potrzeby frontu.

„Powinniśmy natychmiast przestawić całą naszą pracę na tory wojenne, podporządkowując wszystko sprawom frontu i zadaniom organizacji rozgromienia wroga”.

Radziecka klasa robotnicza, radzieckie chłopstwo i pracująca inteligencja zrozumiały i zrealizowały słowa Nauczyciela i Wodza. W rezultacie w latach 1942 — 1945 przemysł radziecki produkował około 30.000 czołgów, samochodów pancernych, około 120.000 dział i 40.000 samolotów rocznie.

Wojna ZSRR przeciwko hitlerowskiej III Rzeszy i jej satelitom trwała prawie 4 lata. W miarę rozwoju działań wojennych zarówno strategia jak i operacyjna sytuacja na frontach oraz układ sił międzynarodowych zmienił się stale na korzyść Związku Radzieckiego. Inicjatorem i twórcą tych zwycięstw był wielki strateg Generalissimus Józef Stalin.

Okres pierwszy wojny — aktywna strategiczna obrona — trwał od czerwca 1941 roku do jesieni 1942 roku. Główną zwycięską bitwą w operacjach rozegranych w tym okresie było rozgromienie faszystowskich najeźdźców pod Moskwą zimą 1941 roku.

Okres drugi (rok 1943) przyniósł Armii Radzieckiej przełomowe, rozstrzygające o wynikach wojny zwycięstwa pod Stalingradem i w Kurlandii. Oceniając znaczenie klęsk zadanych hitlerowskim armiom Józef Stalin mówił wówczas:

„Jeśli bitwa pod Stalingradem oznaczała schyłek niemiecko-faszystowskiej armii, to bitwa pod Kurlandii postawiła ją w obliczu katastrofy”.

Trzeci okres wojny (rok 1944) charakteryzują wielkie zwycięstwa nad wrogiem, odniesione w wyniku 10 drugoczących stalinowskich uderzeń. Terytoria radzieckie zostały całkowicie wyzwolone. Satelici hitlerowscy: Włochy, Finlandia, Rumunia i Bułgaria wypadły z wojny. III Rzesza znalazła się w strategiczno-politycznej izolacji.

Czwarty i ostatni okres Wielkiej Wojny Narodowej (od końca 1944 roku do rozgromienia hitlerowskich Niemiec 8 maja 1945 roku i militarnego zwycięstwa Japonii 2 września 1945 roku) przyniósł wyzwolenie Polsce, Czechosłowacji i innym narodom Środkowo-Wschodniej Europy oraz stworzył warunki, które pozwoliły zrzuć jarzmo międzynarodowego kapitalizmu wielu narodom Azji, a przede wszystkim Wielkiemu Narodowi Chińskiemu. Dwa ośrodki światowego faszystyzmu i agresji — III Rzesza i Japonia zostały rozbite.

*

Jeszcze przed zakończeniem wojny Rząd Radziecki pod osobistym kierownictwem Józefa Stalina opracował konkretny program powojennego współżycia narodów Europy i Azji. Program ten, sformułowany przez Józefa Stalina w referacie wygłoszonym w listopadzie 1944 roku, znalazł w dużej mierze wyraz w postanowieniach układów, zawartych w Jaltie i Poczdamie. Postanowienia te podkreślały konieczność likwidacji wszelkich rasowych i narodowych przywilejów. Głosiły równanie w prawach i poszanowanie terytorialnej integralności i suwerenności zarówno wielkich jak i małych narodów. Stwierdzały przywrócenie swobod demokratycznych oraz całkowitą niezależność narodów w urządzaniu własnego życia i wyborze państwowego systemu.

Program stalinowski jak i postanowienia układów w Jaltie i Poczdamie przewidywały poza tym konieczność surowych kar dla zbrodniarzy wojennych, stworzenie warunków międzynarodowych, uniemożliwiających odrodzenia faszystyzmu oraz imperializmu niemieckiego i japońskiego.

Podkreślając znaczenie rozbrojenia Józef Stalin wskazywał na konieczność utworzenia specjalnej organizacji militarnych, pokojowych, celów obrony pokoju i zapewnienia międzynarodowego bezpieczeństwa. Wyjaśniając znaczenie ONZ w dziele obrony pokoju Józef Stalin zwracał uwagę, że jej działalność może być skuteczna tylko w tym wypadku, jeśli wielkie mocarstwa, które na własnych barkach dźwigały ciężar antyfaszystowskiej wojny, będą i w przyszłości działać w duchu porozumienia, zgody i jedynomysłności.

Bieg wydarzeń po wojnie dowiódł, że imperialistyczne kółka rządzące USA oraz ich satelitami nie chcą współpracy z Związkiem Radzieckim. Wiemy jakie są tego przyczyny. Współpraca ze Związkiem Radzieckim oznacza pokój, a imperializm dąży do wojny. „Imperializm — mówił Stalin jeszcze ćwierć wieku temu — nie może żyć bez gwałtów i grabieży, bez krwi i wystrzałów. Dlatego właśnie jest imperializmem”. Ale jako zaporę na drodze gwałtów i podbojów stoi Kraj Socjalizm, stoją demokracje ludowe, wyzwolone już Chiny i coraz szybciej idące ku wyzwoleniu narody krajów zależnych i kolonialnych, staje coraz wyraźniej świadoma swych celów klasa robotnicza państw kapitalistycznych — potężniejąca z każdym rokiem obce pokój. Imperializm usiłuje więc odgrodzić swe narody żelazną kurtyną od krajów socjalizmu, buduje bazy wojenne na całym świecie, stara się wzmocnić swoje zaplecze biorąc w niewolę własne społeczeństwa — przygotowuje wojnę, a w Korei już ją prowadzi. Niezdolny do zrozumienia procesów historycznych, usiłuje przerwać ich bieg salwami artylerii, wybuchami bomb bakteriologicznych.

„Tylko bowiem ludzie całkowicie zdziwieni mogą mniemać, że prawa artylerii są silniejsze od praw historii, że można obrócić wstecz kółko historii” — mówił Józef Stalin w cytowanym już przemówieniu. I — a wojna światowa przebiegała — wybuch „rewolucji, wyzwalała 170 milionów ludzi z wyzysku klasowego i tworząc wyłom w systemie światowego kapitalizmu, powołała do życia pierwszą Socjalistyczną Republikę. Przyszła interwencja i jej niesławna klęska. Po II-giej wojnie światowej wyzwoliły się dalsze setki milionów ludzi w Europie Środkowo-Wschodniej i Azji, przeobraziła zupełnie stosunek sił, ukazała olbrzymią wyższość ustroju socjalistycznego, który w wojnie tej był właściwym zwycięzcą.

Sytuacja dzisiejsza, to sytuacja, w której, jak pisał Molotow, „imperialiści, rozpętując nową wojnę światową wywołują nieuchronnie tak powszechny odpór ze strony młodych pokoi narodów i całego obozu demokratycznego, że doprowadzi to do klęski nie tylko tych, czy innych państw agresorskich, ale do dotąd, ale do likwidacji całego ustroju światowego imperializmu”.

Kazimierz R. Zawadzki

JANUSZ WILHELM

OBRACHUNEK Z EPOKĄ IMPERIALIZMU

(Pięćdziesiąt lat twórczości Zofii Nałkowskiej (II))

Powieść *Weże i róże* (1913) jest jednak dowodem, że postawa Nałkowskiej była — na dłuższą metę — nie do utrzymania. Etyczny protest, bez wyciągnięcia konkretnie politycznych wniosków, bez uświadomienia sobie klasowego sensu rewolucji — nie uodporniał pisarkę całkowicie przed naciskiem burżuazyjnej ideologii. Wynikiem tego nacisku są *Weże i róże* (1913) — powieść, nawiązująca do wyścigowego punktu rozwoju Nałkowskiej, do *Łodowych pól*.

Z takim dorobkiem wkracza Nałkowska w lata wojny imperialistycznej 1914 — 1918.

Bezsens ten wojny, jej okropności i wywołane przez nią zniszczenia są dla pisarki wstrząsającym przeżyciem. Z tego wstrząsu wyrażają się dwie jej wojenne książki: *Tajemnice krwi* (1917) i *Hrabia Emil* (1918). Obydwie są protestem przeciw wojnie.

Trzeba stwierdzić od razu, że polemika z wojną, prowadzona jest przez Nałkowską z pozycji integralnego pacyzizmu. Jest to polemika z wszelką wojną.

Czy stwierdzenie to rozstrzyga już o wartości obu tych pozycji? Nie. Zagadnienie pacyzizmu jest zagadnieniem tak złożonym, że wymaga zawsze konkretnej analizy historycznej. Pacyzizm może służyć różnym celom. Jego postępowość lub wsteczność będzie zależała od tego w czyjej obronie występuje i w co wierzy.

W wypadku Nałkowskiej, łatwo stwierdzić w czym imieniu prowadzona jest kampania z wojną. Po pierwsze w imieniu zagrożonych przez zdziczenie imperialistycznej wojny wartości humanistycznych; wojna — według Nałkowskiej — rozpętuje w człowieku najniższe instynkty mordu i gwałtu. Jako uogólnienie jest to niewątpliwie fałszywe — wojna wyzwolenia może być dla człowieka szkołą bohaterstwa i poświęcenia. Ale jako stwierdzenie konkretnego faktu — że Nałkowskiej jest niewątpliwie słuszną: wojna imperialistyczna — a na niej opierała swe obserwacje Nałkowska — wyzwała w niej człowieka, który, zostając najniższymi instynktami, które zostają u niego brak wszelkich przyswajających ich idei.

Po drugie — jak świadczy *Tajemnice krwi* — kampania przeciw wojnie prowadzi Nałkowską w imieniu tych, których dotyka ona najmocniej, w imieniu prostych, zwykłych ludzi.

Obie te przesłanki pozwalają nam już w jakiś sposób ocenić wagę antywojennego protestu Nałkowskiej. Wagę tego protestu dostrzeżemy jeszcze wyraźniej, kiedy spojrzymy na okoliczności, w jakich pojawiają się wojenne książki Nałkowskiej.

Rok 1917 to data ukazania się *Tajemnic krwi*. I zarazem moment, w którym imperializm pruski wraz ze swą pilsudecką agencją dokłada wszelkich starań, aby pozyskać polskie „młode armatnie” dla swych agresywnych celów. Demobilizująca nastroje wojenne książka Nałkowskiej przeciwdziałała w jakiejś mierze tym zamiarom. I to niezależnie od tego, czy swój atak na wojnę wspierała Nałkowska prawdziwym, czy fałszywym teoretycznym argumentem.

Rok 1918 to data ukazania się *Hrabiego Emila*. I zarazem rok, w którym burżuazja polska przeobraża wyrażenie do interwencji wojny ze Związkiem Radzieckim, rozdmuchuje psychozę wojenną i historię nacjonalistyczną. I znów — niezależnie od swych teoretycznych błędów — *Hrabia Emil* rozkładając nastroje wojenne spełniał na pewno pozytywną rolę.

Lata 1918 — 1923 to okres szerokiego rozłania się fali rewolucyjnej po całej Europie. Rewolucja Październikowa pobudziła klasę robotniczą całego świata do szturmowania na kapitalizm, do generalnej ofensywy przeciw ustrojowi krzywdy i wyzysku.

W Polsce lata te przyniosły niezwykle natarzenie walk rewolucyjnych, w których proletariaty polski pod przewodnictwem Komunistycznej Partii Polskiej — powstał z SDKPiL i PPS Lewicy — składa dowody swego hartu ideowego i pełnego oddania sprawie rewolucji proletariackiej. Nie trzeba chyba przypominać okoliczności tych bohaterskich zmagani.

Z drugiej strony lata 1918 — 1923 to okres, w którym burżuazja polska pokazała bez reszty swe reakcyjne, wrogie ludowi oblicze. Doszedłszy do posiadania własnego państwa klasowego użyła go jako narzędzia jeszcze silniejszego wyzysku mas robotniczych i chłopieckich. Jednocześnie na ziemiach Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi do uciśku klasowego dołączył się uciśk narodowy. Uciśmione narody — Ukraińcy i Białorusini — rozpoczynają coraz zacietliwiałe walki o wyzwolenie narodowe, o zrzućcie jarzma polskiej burżuazji i obszarńców.

Okres ten — w którym konflikty społeczne i narodowe zarysowały się z taką jasnością — był dla literatury polskiej problemem uczciwości i rzetelności pisarskiej. W obliczu bohaterstwa walki klasy robotniczej w obliczu szalejącego uciśku burżuazyjnego — pisarz, który chciał zachować swą ideową samo-

dzielność, który nie przeszedł całkowicie na służbę burżuazji, nie mógł pozostać obojętny.

Jak egzamin ten zdała Nałkowska świadczy jej nowa powieść *Romans Teresy Hennert*, którą ukazała się w końcu 1923 roku.

Mówiąc o pierwszych latach istnienia państwa polskiego Stalin pisał:

„Państwo polskie wkraczało w fazę zupełnego rozkładu. Finanse leżały na łeb na szyję. Złoty spada. Przemysł jest sparaliżowany. Narodowości niepokojące są uciśkane. A w górze, w kołach zbliżonych do warstw rządzących panuje orgia nadużyć”.

Romans Teresy Hennert pokazuje i klasowy charakter powstającego państwa polskiego i jego rozkład. Pokazuje, jak państwo to służy interesom burżuazji, jest niespodzianą domeną Hennertów i Nawolewskich, areną ich oszukańczych afer i machinacji finansowych.

Na ich przykładzie dokumentuje Nałkowska też o tym, że dopiero w ramach własnego państwa burżuazja polska uzyskuje możliwości pełnego rozwoju. Dzięki niemu właśnie Hennert, początkowo subekt sklepowy, który na „odszkodowaniu za utratę czci” swej żony gruntuje własny interes handlowy, później spekulant wojenny — staje się dyktatorem państwowym.

Na zarejestrowaniu tego stanu bistości obserwacji Nałkowskiej, nie kończy się jednak. Obok zdemoralizowanych i skorumpowanych warstw rządzących pojawiają się miejsca w obrazie burżuazji polskiej zajmują te kąta, które — po zakończeniu wojny odsunęte nieco na bok, nie zadowolone z podziału władzy i zysków — staną się w latach późniejszych awangardą polskiego faszystyzmu, narzędziem wielkiego kapitału w walce z ruchem robotniczym. Tych ludzi — generała Chwościka, pułkownika Omskiego — zobaczymy w roku 1926 u boku Piłsudskiego. Ukazują się kłiki pułkownikowskie i nurtujące w niej dążności faszystowskie popchnięte jednak Nałkowską błędem wyzyskanym przez krytykę burżuazji usiłującą stępić polityczne ostrze powieści.

Nieuniknionym skutkiem faszystyzmu jest deprawacja moralna i etyczna jego zwolenników. Żadna ideologia polityczna nie zniekształca tak charakteru ludzkiego, nie rozwija tak zbrodniczych skłonności, nie wyrabia tak antyhumanistycznego, nieludzkiego stosunku do innych. Pułkownik Omski z *Romansu* jest i pod tym względem typowym faszystą. Nałkowska widzi ten związek między postawą polityczną a postawą moralną. Przedstawiając go jednak, miesza przyczyny ze skutkami. Omski dlatego właśnie jest faszystą, że skłonności psychiczne, moralne, zniekształcenia pochają go w kierunku tego właśnie obozu. Oczywiście takie motywy związania się z faszystyzmem nie są wykluczone. Na pewno jednak nie są one motywami typowymi — te leżą w płaszczyźnie zjawisk społeczno — politycznych.

Aby wyjaśnić postawę ideową Omskiego, musi zatem Nałkowska — na zasadzie przyjętej tezy — ukazać wszystkie skrzywienia psychiki pułkownika, całą historię jego kompleksów. W tym właśnie miejscu powieść społeczna, jaką z założenia — jest *Romans*, ociera się niebezpiecznie o powieść psychologiczną, powieść o jednostkowych, autonomicznych przeżyciach i wzruszeniach. Jest to tym niebezpieczniejsze, że — jak wiemy — własna tradycja pisarska mogła Nałkowską ku takiej powieści nagiąć.

W tych właśnie partiach utworu Nałkowska, która po raz pierwszy w *Romansie Teresy Hennert* potrafiła całkowicie zastąpić prozę liryczną — wzruszeniową, prozą o pełnej komunikatywności, o pełnym walorze informacyjnym — znów powraca do starych środków wyrazu artystycznego. Jako całość jednak jest *Romans* niewątpliwie nowym etapem w rozwoju realizmu Nałkowskiej, etapem na którym walka o realizm jest już nie tylko walką o temat ale i walką o nowy sposób widzenia świata.

Kompromitacja burżuazyjnego państwa dokonująca się w *Romansie* poprzez dwie postacie: Andrzeja Laterny i porucznika Lina.

Andrzej Laterna — w zamierzeniu Nałkowskiej przedstawiciel ruchu rewolucyjnego — jest w powieści postacią najsłabszą klasy zarysowaną. I to nie tylko dlatego, że Nałkowska wyboryłbiera w nim nad miarę błędy luksemburgizmu, często zjawiające się w pierwszych latach działalności KPP. Ale dlatego, że jest postacią papierową, że ukształtowany został nie na znajomości rzeczywistych przedstawicieli Partii, ale na podstawie popularnych, schematycznych wyobrażeń rewolucjonistów. Nigdzie może tak dotkliwie nie dało się Nałkowskiej we znaki niedocenianie realiów, zaniedbania dokładnych studiów rzeczowych.

Lin natomiast — to postać pulsująca życiem.

Młody porucznik, który włożył mundur myśląc, że owocem jego żołnierskiego trudu będzie szczęśliwa i sprawiedliwa Polska. Pod tym względem Lin jest prototypem Cezarego Baryki z *Przedwiośnia* Ze-

romskiego. I podobnie jak Baryka szybko traci swe złudzenia:

„I Laterna wracał z Kresów, gdzie właśnie... Tam widzi się dopiero do czegoś doszli... Porucznik także już o tym myślał. Białorusini, Ukraińcy — przecież to zupełnie samo. Teraz decydują „względności państwowe”, teraz się już przestało mówić o wyzwoleniu ludów. I to Polska, które przez tyle lat wila się w kajdanach niewoli — teraz sama... Wiedzę to właśnie jest niepodległość... Tutaj po wiezieniach zamknięci siedzą ludzie — tylko za wyznawanie najwyższych, najsłabszych idei...”

Porucznik usiłuje się buntować. Zbyt silne jednak okazują się więzy łączące Lina z klasami panującymi, aby je mógł zerwać, zbyt przesiąknięty jest nacjonalistyczną propagandą aby móc ją całkowicie odrzucić. Solidarność z ruchem rewolucyjnym staje się w oczach Lina — zdradą ojczyzny, którą zmęczyć można tylko samobójstwem. Lin nie pójdzie razem z Baryką — na Belweder.

Nie przypadkiem wspomnieliśmy tu *Przedwiośnie*. Oba tak bliskie chronologicznie utwory — *Romans Teresy Hennert* i *Przedwiośnie* — wyrastają na tej samej fali protestu przeciw rządowi burżuazji polskiej, przeciw niesionej przez nie nędzy i uciśkowi. Zapewne — trzeba to stwierdzić wyraźnie — *Romans Teresy Hennert* nie dorównywał arcydziełu Zeromskiego, Brak mu tej pasji demaskatorskiej, brak przede wszystkim rewolucyjnego — w swej obiektywnej wymowie — zakończenia. Ale i to nawią, co wspólne jest obu książkom dostatecznie wyznacza granice realizmu powieści Nałkowskiej. Twórczość największego pisarza epoki jest tu na pewno najlepszą miarą. Logiczną konsekwencją tak realistycznego widzenia rzeczywistości polskiej, jakie mamy w *Romansie Teresy Hennert* powinno być dla Nałkowskiej całkowite przejście na pozycję rewolucyjnego proletariatu. Tego kroku Nałkowska jednak nie uczyni. Dlaczego? Przyczyna tego leżała nie tylko w ideowej niedojrzałości pisarki. Rok 1923 był w Polsce momentem najwyższego wzniesienia fali rewolucyjnej po pierwszej wojnie światowej... Od tej daty zaczyna się odpływ tej fali, zaczyna się okres przejściowej stabilizacji kapitalizmu. Kiedy przyszyły się dynamiczne twórczości Nałkowskiej dostrzeżemy ścisły związek zachodzący między artystycznymi walorami jej pisarstwa a natchnieniem, „ruchu”, rewolucyjnego. Ruch ten stanowi motor pisarskich osiągnięć Nałkowskiej. Nic dziwnego. W epoce imperializmu pisarz inteligencji wtedy tylko może tworzyć postępowe wartości artystyczne, kiedy pobudzany jest i pociągany przez rewolucyjną walkę klasy robotniczej, zapewniającą jego dziełu właściwe metody twórcze i klarowność ideowych intencji.

Działanie tych czynników osłabło po roku 1923. Tu leży przyczyna kilkuletniej regresji w twórczości Nałkowskiej. Cofnięcie to wyraziło się „minimalizmem poznawczym *Domu nad Łąkami* (1925), ekspresjonistycznym nałotami *Niedobrych miłości* (1928) i *Sciany Świata* (1931), utopiami „rewolucji moralnej” w *Choucas* (1927).

Zapewne żadna z tych pozycji nie jest pozbawiona elementów pozytywnych i postępowych. *Niedobra miłość* posiada ostre, demaskujące sanację akcenty; *Sciany Świata* rzucają kilka trafnych społecznych diagnoz przestępczości; *Choucas* podejmuje rzucając przez Zeromskiego w ostatnim rozdziale *Wiatru od morza* krytykę imperializmu kolonialnego. Mimo to jednak wszystkie te elementy mają jedynie drugoplanowe znaczenie dla całej twórczości tego okresu. Rzeczywiste odnowienie realizmu przynosiła twórczość Nałkowskiej lata 1933 — 1935.

Lata 1933 — 1935 są okresem wzrostu sił faszystyzmu we wszystkich państwach kapitalistycznych. W Polsce w latach tych dokonywa się całkowita faszystyzacja kraju, uwięzioną w roku 1935 Konstytucję Kwietniową. Wzrasta terror policyjny, zapelniają się więzienia i obozy koncentracyjne.

Na ofensywę faszystyzmu — KPP odpowiada Generalną Kontrofensywą. Do walki z reżimem sanacyjnym porusza klasę robotniczą, masę chłopiecką, inteligencję pracującą. W roku 1935 i 1936 montuje szeroki front antyfaszystowski przeciw nędzy, bezrobociu i przyszywanej przez międzynarodowy faszystyzm wojnie. „W tym okresie — pisze Bolesław Bierut — KPP walczy o stworzenie szerokiego antyfaszystowskiego frontu ludowego pod hasłem: chleba, wolności, pokoju...”

Kampania bojkotu sejmku zwołanego w 1935 roku na podstawie sfaszystowanej ordynacji wyborczej, akcja o amnestię dla więźniów politycznych, akcja w związku ze zjazdem pracowników kultury w maju 1936 roku, kampania wokół powszechnego Kongresu Pokoju... akcja w obronie zagrożonej przez hitlerizm niepodległości — wszystko to były zryby szerokiego antyfaszystowskiego frontu ludowego pod wodzą komunistów”.

We wszystkich tych poczynaniach Nałkowska bierze czynny udział. Żywo współpracuje z antyfaszy-

stowskim pismem *Oblicze dnia*, jednolitofrontowej inteligencji polskiej, kierowanej przez Wasilewską, Kruczkowskiego i Borejsę. Pomaga więźniom politycznym, protestuje przeciw hitlerowskiemu terrorowi w Niemczech.

Z tych właśnie doświadczeń powstaje, wydana w 1935 roku *Granica*. *Granica* jest niewątpliwie arcydziełem Nałkowskiej. W żadnej ze swych powieści nie potrafiła Nałkowska dać takiej pełni realizmu. Realizm *Granicy* jest wielostronny. Pierwszą jego częścią składową jest obraz nędzy mas ludowych, bezrobocia i strajków, obraz stanowiący tło, na którym rozgrywa się główna akcja powieści. Akcja ta koncentruje się wokół dziejów Zenona Ziembowicza. Skonstruowanie tych dziejów jest dowodem mistrzostwa pisarskiego Nałkowskiej.

Pod piórem Nałkowskiej banalna i blaha na pozór sprawa romansu Zenona i Justyny staje się wykładnikiem stosunku nierówności między poszczególnymi klasami społecznymi, dowodem tezy, że nie ma dziedziny życia, do której nierówności ta by się nie zakradła. Ta świadomość, że nie ma zagadnień ani spraw społecznie nieudeterminowanych jest niezwykle ważnym osiągnięciem ideowej świadomości Nałkowskiej.

Z drugiej strony dzieje Ziembowicza to historia kariery urzędniczej młodego, zdolnego, ożywionego jak najlepszymi intencjami człowieka. Nałkowska pokazuje jak sytuacja społeczna całkowicie określa człowieka: Ziembowicz — skoro zdecydował się pójść na współpracę z reżimem sanacyjnym — musi z konieczności stać się jednym z trybów maszyn państwowej, jednym z elementów aparatu klasowego uciśku, jakim jest państwo burżuazyjne.

Z tym wiąże się najważniejsza funkcja społeczna i ideowa *Granicy*. Funkcja wyrastająca z działalności Frontu Ludowego. *Granica* to wielki apel do inteligencji polskiej, wskazujący jej, że jeśli nie przejdzie na pozycję czynnej walki z faszystyzmem, to mimo swej woli i świadomości służyć musi kapitalizmowi w jego najbardziej nieludzkiej, faszystowskiej postaci.

Granica to ostatnie przed drugą wojną światową realizmowe osiągnięcie Nałkowskiej. Zwycięstwo faszystyzmu w Polsce, klęska tych sił, które mu przeciwdziały — odbiły się wyraźnie na twórczości Nałkowskiej. „Po”-tak-”wysokim” wzniesieniu realizmu, jakim była *Granica* przychodzą *Niecierpliwie*, książka głęboko pesymistyczna i naturalistyczna. Katastrofalizm *Niecierpliwych* jest wynikiem tego, że pisarka w sposób skrajnie pesymistyczny ocenia perspektywę dalszego rozwoju politycznego i społecznego i pesymizm ten rzutuje na swą koncepcję losu ludzkiego.

I znów nic innego tylko wzmocnienie ruchu rewolucyjnego, zwiększenie aktywności klasy robotniczej przynosiły odnowienie sztuki pisarskiej Nałkowskiej. Lata okupacji, walka narodu polskiego pod przewodnictwem PPR przeciw hitlerowskiemu okupantowi, zwycięstwo Armii Radzieckiej nad faszystyzmem, zrzućcie jarzma kapitalistycznego i powstanie Polski Ludowej — te czynniki oddają się wyraźnie na twórczości Nałkowskiej. Wpływ ich widać na drugiej części *Węzłów życia*, a przede wszystkim na *Medalionach*.

Jako członek międzynarodowej komisji badania zbrodni faszystowskich w Polsce miała Nałkowska okazję zapoznać się z hitlerowskimi miejscami kaźni i obozami koncentracyjnymi. W wyniku tych obserwacji powstały *Medaliony*, jedno z najbardziej wstrząsających oskarżeń faszystyzmu w literaturze światowej. Wyrasta ono na gruncie tego samego humanistycznego stosunku do świata, który jak wskazywaliśmy — towarzyszy Nałkowskiej od zarania jej twórczości. Spokojna i świadomie rzeczowa narracja *Medalionów* ukazuje całe dno spotwornienia i zezwierzęcenia, do jakiego faszystyzm może doprowadzić człowieka. Ta rzeczowość działa znacznie potężniej niż najmowniejszy komentarz: nie można powstać od lektury *Medalionów* bez głębokiej niechęci do faszystyzmu i bez silnej woli zwalczania go wszędzie, gdziekolwiek się może zdarzyć.

Medaliony stanowią zamknięcie dotychczasowej twórczości Nałkowskiej. I zarazem są ostatecznym rozrachunkiem z epoką, w której przyszło pisać tworzyć przez lat blisko czterdzieści — z epoką imperializmu. Książki, nad którymi teraz pracuje Nałkowska, powstają już w innych warunkach: w warunkach kształtowania się narodu socjalistycznego i wyrastania nowej, socjalistycznej moralności, która wciela wszystkie humanistyczne i deale współżycia społecznego, tak bliskie zawsze Nałkowskiej.

Dlatego też wierzymy, że nowe książki Nałkowskiej będą dalszym postępowaniem na drodze rozwoju jej realizmu. Pisarz, który mimo wszystkich trudnych latach przeszłości, na pewno dziś go nie porzuci.

Janusz Wilhelm

*) Stalin: *Dzieła t. VIII. Str. 176. Książka i Wiedza 1951*

*) Patrz: „Wies”. Nr 24. 1952.

JAN ZYGMUNT JAKUBOWSKI

ADOLF DYGASIŃSKI

(W 50-lecie śmierci)



Adolf Dygasiński nie zajmuje w dziejach polskiej kultury tak wysokiego stanowiska, jak wielcy realniści krytyczni — Prus, Orzeszkowa, Żeromski. Pięćdziesiąt lat od śmierci pisarza — to jednak dostateczna próba czasu, aby stwierdzić, że milczenie lub zdawkowe formuły krytyczne, otaczające Dygasińskiego, to na pewno krzywdą. Autor „Zajęca” posiada w literaturze narodowej swoje odrębne i znaczne miejsce zarówno ze względu na wiele realistycznych treści swego piśarstwa, na trafne obserwacje społeczne, jak i ze względu na oryginalny artystyczny sposób ukazania człowieka i krajobrazu. I dlatego nie z racji okolicznościowo-rocznicowej kurtuazji, ale ze względu na rzeczywiste zasługi pisarza, na jego dojrzałość i nową ocenę tego zapomnianego klasika polskiej prozy.

Nasza wiedza o Dygasińskim jest żenująco niska. Bibliografia pisarza jest uboga tak ilościowo, jak — co ważniejsze — i ze względu na jakość wiedzy o pisarzu. Historia literatury zamknęła jego różnorodną spuściznę w kilku ogólnikowych formułach, jak np. „wybitny naturalista”, „Homer walki o byt”, „polski Kipling” itp. Pisarz o bogatych i głębokich zainteresowaniach społecznych i kulturalnych, imponujący wielkością i wagą swego różnorodnego dorobku (był przecież wybitnym powieściopisarzem i nowelistą, płodnym publicystą, nowatorskim pedagogiem — teoretykiem i praktykiem, wreszcie pracowitym tłumaczem klasycznych dzieł pozytywistycznych), został przez mieszczką krytykę wyrażony w zubożeniu. Ostatecznie i tak pozostaje entuzjastyczna pochwała Dygasińskiego jako niezrównanego piewcy życia zwierząt była w istocie pomniejszeniem ideologicznym i artystycznym wartości dzieł pisarza i ich degradacją w dziejach literatury narodowej. Deprecjonowała on rzetelnie humanistyczne i niejednokrotnie postępowe elementy krytyki społecznej zawarte w jego utworach. Nie wyjaśniła również sprawy Dygasińskiego teza zasłużonego badacza literatury pozytywistycznej, Zygmunta Szwejkowskiego, na temat „Dramatu Dygasińskiego”, walki, jaką miały toczyć w duszy pisarza tendencje racjonalistyczne i materialistyczne, narzucone przez ideologię pozytywistyczną, z jakoby przyrodzonymi emocjonalno-irracjonalnymi właściwościami psychicznymi.

Jeśli w życiu i twórczości Dygasińskiego był w istocie dramat, to nie miał on charakteru niesprawdzonego konfliktu między różnymi władzami psychicznymi. Był on — powtarzając formułę Norwida — „wielce rzeczywisty”. Zasadniczymi jego elementami były siły klasowe epoki, w szczególności sytuacja społeczna inteligenta pracującego, niejednokrotnie deklarującego, borykającego się z uparciem trwającymi w Polsce relikwiami feudalizmu, przeżywanego coraz głębiej w swoich doświadczeniach życiowych rozczarowanie do kapitalizmu i nie znajdujących drogi prowadzącej na pozycję proletariackiej. Dzieje życia i twórczości Dygasińskiego ukazują przemijającą prawdę — podobną znajdziemy chyba w losach współczesnego mu wielkiego malarza, Aleksandra Gierzyńskiego — o losach radykalnego, uczelnego inteligenta — artysty w społeczeństwie kapitalistycznym w okresie lat osiemdziesiątych XIX wieku, kiedy burżuazja staje się klasą wyraźnie wstępną i zaprzecza własną praktyką życiową głoszoną przez siebie hasłem humanitarnym.

Skrepowany cenzurą klasową nie zawsze mógł Dygasiński ostro oddzielić nadużycia społeczne i moralne klas panujących. W listach Dygasińskiego są niejednokrotnie przejmujące akcenty rzeczywistego buntu społecznego przeciwko uciskowi i poniżeniu, jakie musiał przeżyć inteligent pracujący w latach utrwalania się sojuszu burżuazyjno-obszarniczego po załamaniu się pozytywistycznych dążeń w życiu i kulturze. Na dwa lata przed śmiercią pisał Dygasiński, który nie mógł znaleźć innej drogi utrzymania, spędzał część swego życia w domach obszarniczych i burżuazyjnych, jako guwerner, do córki: „Widzisz, droga córko, w owej niby to mściwości losu, który nas rozdziela, jest pewna konsekwencja mojego życia. Zważ to tylko dobrze, a zobaczysz, jak dla mnie jest cicho w owej Warszawie — prawie, że czuję ramiona, które mnie wypychają. Zresztą, czyżby mógł na starość jeść chleb nawet jakiejś synekury... Powiesz się w klamki jakiegoś Lewentala... Złazisz teraz, gdy zostałem na prawdę weteranem życia.

robię się ogromnie sztywnym, uparty do śmierci głodowej raczej. Nie o sobie tylko mówię, ile pragnę wytłumaczyć się przed Tobą, usprawiedliwić to położenie, że ojciec — opuszczam swoje ukochane Dziecko. A cóż zrobić? Pójdę żebrać... Moralność sprzedaje się w dziennikach na funty, a w życiu jej nie ma”. Rozczarowany głęboko do praktyki burżuazyjnej skończył Dygasiński zupełną rezygnacją w życiu i twórczości. Odsunął się od walki o zmiany niesprawiedliwych stosunków społecznych. I to był prawdziwy „dramat” życia i twórczości pisarza, który przeciw rozpętał od ostrej walki z zafowaniem feudalnym w Polsce, który przez długie lata obnażał — mimo wszystkich sprzeczności ideowych — kłamstwa i nadużycia społeczne i moralne obszarnictwa i burżuazji, a szczególnie — w najlepszych nowelach — ukazywał niedolę biedoty wiejskiej.

Postępowe, realistyczne cząstki piśarstwa Dygasińskiego a nie „Gody życia” domagają się trwałego miejsca w dziejach literatury narodowej. W szkicu niniejszym podejmujemy próbę, fragmentaryczną choćby, zarysowania ewolucji ideologicznej i artystycznej Dygasińskiego. Przedtem trzeba zebrać w porządkującym zarwie materiały biograficzne. Dygasiński — to na prawdę pisarz nieznany.

* * *

Adolf Dygasiński urodził się 7 marca 1839 roku w Niegosławicach nad Nidą. Był synem oficjalisty dworskiego. Sytuacja materialna w domu rodzinnym była skromna. Dygasiński musiał wcześniej zarabiać na utrzymanie korepetycjami jako uczeń gimnazjum najpierw w Pinczowie, później w Kielcach (1858—1860).

Doświadczenia wczesnej młodości Dygasińskiego kształtowały się w środowisku folwarcznym, w kręgu oficjalistów dworskich, drobnej szlachty i chłopstwa. Dygasiński w dzieciństwie i młodości znał jeszcze stosunki pańszczyźniane, wystawił im surowe świadectwo w jednej z pierwszych nowel. („Podpalaczka”).

„I tylko wierutna przewrotność, fałsz tendencji może być gorzka ale rzeczywistą prawdą

przeszłości przydziewać w jakieś mdłe sentymenty”.

Nieobojętną rzeczą dla zrozumienia późniejszych obrazów z życia biedoty wiejskiej, jakie tworzy Dygasiński w nowelach i powieściach, będzie stwierdzenie, że obserwacje społeczne przyszłego pisarza kształtowały się w ziemi Kieleckiej i Radomskiej (niebawem po powstaniu, zostanie Dygasiński guwernerem w dworze obszarniczym, w Wielgowie pod Radomem), gdzie żywe były tradycje buntów chłopskich, gdzie w latach przedpowstańczych dochodziło do wystąpień chłopskich. Przypomnijmy, że doświadczenia ubogie, przeludnionej wsi kieleckiej wywarły niewątpliwie wpływ i na realistyczne malarstwo Józefa Szermętowskiego i na realistyczny obraz życia biedoty wiejskiej w nowelach i powieściach Żeromskiego. Z obserwacji Kielecczyny czerpał również Wacław Natkowski argumenty do walki z tendencjami ludomaskimi, pragnącymi utrzymać niski poziom cywilizacyjny wsi polskiej.

W roku 1862 zapisał się Dygasiński na wydział filozoficzny w Szkole Głównej w Warszawie. W okresie powstania był więziony (w Olkusz). Później próbował kontynuować studia w Warszawie, następnie w Pradze. Przerwał je ze względu na brak pieniędzy.

W roku 1871 zamieszkał Dygasiński w Krakowie. Zaużytkował zdobyte w pracy guwernerskiej doświadczenia zakładając pensjonat dla uczniów. Pierwsze lata pobytu w Krakowie — to okres względnej stabilizacji w życiu pisarza. W roku 1873 otworzył Dygasiński niewielką księgarnię nakładową. Wspomnienia rodziny, przyjaciół podkreślają niejednokrotnie „niesłychaną niepraktyczność, uczynność, łatwość” Dygasińskiego (słowa córki pisarza, Zofii Wolertowej). Nie ta jednak niepraktyczność życia zacydowała o bankructwie księgarni. Odwołajmy się do wyjaśnień świadka tych lat, Aleksandra Świętochowskiego, który wracając ze studiów w Lipsku zamieszkał w r. 1875 w Krakowie (Pamiętnik):

„Odnajmąłem pokój u Dygasińskiego, z którym wkrótce zawiązałem się stosunkami serdecznymi. Był to człowiek bardzo dobry,

biedny i nieszczęśliwy... W Krakowie otworzył z siostrą małą księgarnię, którą kler za sprzedaż wydawnictw nieprawomyślnych obłożył klątwą. Obecne pokolenia z trudnością mogą sobie wyobrazić terror, jaki wywierało duchowieństwo pod komendą wojowniczego księdza Goliara. Był on poprzednio aktorem trupy prowincjonalnej i gdy raz mając wybiec na scenę w postaci lwa, niosąc na grzbiecie kobietę, skutkiem zbyt gwałtownego ruchu wysunął się ze skóry i wywołał śmiech widzów, porzucił ten zawód i wstąpił do seminarium. Zachował jednak nawykienia aktorskie. Na ambonie w kościele Panny Marii, gdzie miewał kazania kościelne, rzucał się konwulsyjnie, deklamował komediantko i ciągle gromił niedowiarłów. Spostrzegłszy za sztybą wystawową Dygasińskiego litografię Matki Boskiej, leżącą na dziełach Darwina, wpadł z hałasem i zaczął usunąć obrazek. Jakś młody ksiądz, stanawszy przed księgarnią Gebethnera przyprawywał się fotografii świątecznej, która miała dać koncert. Przecho-dzący Goliar skarcił go za to znieważanie szaty kapłańskiej, ogłaszając wizerunku „jawnogrzecznicą”. Pod tym terrorem odstraszanym klientów od księgarni Dygasińskiego, wchodzili oni do niej tak rzadko, że często dzienny dochód ze sprzedaży nie przekraczał jednego guldna. Tyrania kleru wzmożła się szczególnie po wydaniu przez Dygasińskiego dzieła Darwina w przekładach polskich. Wytrzymał on dzielnie wszystkie ataki, pomimo, że ogółalczy go one i groziły nieuniknionym bankructwem. Nieustraszone wydał oboje dramaty („Ojciec Makarj”, „Niewinni”, przyp. J.Z.J.). Bądź skutkiem inkwizytorskiego prześladowania i bigoteryjnie nastrojonej inteligencji miejscowej, bądź skutkiem małej poczytności tego rodzaju utworów, bądź skutkiem samowolnego bez mojej wiedzy przedruku „Niewinnych” przez Wiślickiego w Warszawie rozprzedał obu dramatów ograniczając się do kilku-dziesięciu egzemplarzy. Nie otrzymałem za nie żadnego honorarium, a gdy już po moim wyjeździe z Krakowa wierzyciele Dygasińskiego zamknęli księgarnię nie dostalem z przynusowej licytacji ani jednego egzemplarza. Mimo to nie miałem

do nieszczęśliwego nakładcy preten-sji, bo widziałem jego tragedię i byłem pewien, że wyszedł z niej zupełnie ogołocony”.

Przytoczyliśmy obszerniejszy fragment relacji Świętochowskiego, bo tłumaczy do dość wiernie przyczyny bankructwa księgarni Dygasińskiego. Padła ona ofiarą terrorka stanczykowsko-klerykalnego. Dygasiński w swoich wydawnictwach (on sam był najczęściej tłumaczem, jak np. książki M. Müllera — „Religia jako nauka porównawcza, Kraków 1874) próbował popularyzować elementy naukowego poglądu na świat i szerzyć tradycje postępowej materialistycznej nauki mieszczańskiej. W tym celu zorganizował „Bibliotekę umiejętności przyrodniczych”. Niewątpliwie i wydanie „Ojca Makarego” musiało wywołać wściekłość sfer konserwatywno-klerykalnych dominujących w ówczesnym Krakowie.

Krakowski okres w życiu pisarza skończył się w sposób dramatyczny. Dygasiński opuścił miasto nagle, księgarnia została zlicytowana. Powtórzyła się w pewnej mierze historia przedsiębiorstwa Balzaka. „Zapewniał Cię — pisał do Kazimierza Bartoszewicza (współ z którym wydawał w latach 1875 — 1876 tygodnik pt. „Szkieł społeczne i literackie”) — że z chwilą objęcia ja-kich bądź obowiązków zechcę płacić, komu winien. Krok rozpocliwy zrobiłem, ale punktu wyjścia dla mnie w Krakowie i za 100 lat nie było”. Ludził się jeszcze Dygasiński nadzieją zrobienia kariery materialnej... na dostawach w wojnie bałkańskiej. W cytowanym liście do Bartoszewicza donosił: „Rób-cie, co można ja się odkryję, jeśli dostanę posadę przy lwerancie je-neralnym głównego sztabu w Bukareszcie, to zrobię interes i w krótkim czasie zapłacę te świństwa, które mi do szaleństwa doprowadzają. Szanse są grube...”.

Dygasiński nie zrobił majątku na dostawach wojennych. Do Bukaresztu nie pojechał. Osiadł w Warszawie i zaprzął się do taczki dziennikarskiej (m. in. w „Przeglądzie Tygodniowym”). Jednocześnie wzmocił

działalność pedagogiczną — praktyczną (uczył np. w słynnej postępowej wówczas szkole Hermana Benniego 1880 — 1885, w której pracował również Ignacy Radliński. Szkoła została zamknięta przez Apuchtina) i teoretyczną (wydał m. in. w roku 1882 pracę pt. „Pierwsze nauczanie w domu i szkole”). W latach 1884—85 ukazały się w wydawnictwie książkowym pierwsze trzy serie nowel Dygasińskiego.

Lata osiemdziesiąte — to okres naj-buźniejszej działalności pisarskiej i społeczno-organizacyjnej Dygasińskiego. Ukazało się wówczas poza wspomnianymi trzema seriami nowel: „Na pańskim dworze” (1884), „Von Molken” (1885), „Na warszawskim bruku” (1885), „Nowe tajemnice Warszawy”, 2 t. (1887), „Z siół, pól i lasów”, zbiór nowel 2 t. (1887), „Nowele 2 t. Beldonek” (1888), „Z ognia życia”, nowele 2 t. (1888), „Z zagony i bruku”, nowele 2 t. (1889), „Kuba Gąsior” (1889), „Pan Jędrzej Piłczalski”, 2 t. (1890) (m. in. cykl pt. „Luźne uwagi o konserwatyzmie i postępie, w Wędrówce”, 1886). W tym również czasie jest Dygasiński członkiem redakcji „Wędrówki” (1884—1887) i „Głosu” (w początkowym okresie czasopisma) oraz inicjatorem takich czasopism, jak „Przegląd Pedagogiczny i Wiedza”. W latach 1890 i 1891 przebywał w Brazylii, gdzie badał warunki życia polskich emigrantów. Stąd powstała m. in. powieść o chłopskiej emigracji pt. „Na złamaniu karku”.

U schyłku lat osiemdziesiątych Dygasiński musił Warszawę opuścić. Wracał znów do guwernerki. Biografowie pisarza tłumaczyli ten fakt bardzo prosto: Dygasiński, piewca uroków przyrody „Homer” życia zwierzęcego najlepiej czuł się na wsi. Naiwność tej interpretacji nie wymaga komentarza. Dygasiński nie tylko na wsi szukał środków do życia. Pertraktował m. in. o objęcie funkcji nauczyciela domowego w rodzinie fabrykanta łódzkiego Pozniewskiego, a w roku 1900 był guwernerem... w Petersburgu u dyrektora banku Azowsko-Dońskiego. W sposób bardziej wiarogodny tłumaczył swe niedole życiowe sam Dygasiński: „...wziąłem się znów do belferki, ponieważ literatura mimo dużej pracy z mej strony, licho mi służyła. Obuczałem i wychowywałem młodego hrabiego (Jana Karola) Chodkiewicza... Chłopiec jest starszy” (18-letni), dostatecznie płynny i wcale nieźle wychowany...”.

Kiedy przeglądaliśmy listy Dygasińskiego z Młynowa czy Massalan, z siedzib bogatych obszarników, gdzie pisarz był nauczycielem domowym, trzeba pamiętać, że pisał je nie początkujący autor, lecz twórca wielu popularnych powieści i nowel, wybitny pedagog, człowiek, który wielu inicjatorskimi akcjami zaznaczył trwałe ślady w dziejach kultury narodowej. Trudno wówczas bez wzruszenia czytać, jak głośny pisarz pociesza się, że oto hrabia - wychowanek jest „...wcale nieźle wychowany...”. Bywało inaczej. Jeszcze w roku 1876 w czasopiśmie krakowskim „Szkieł społeczne i literackie” w Listach o naszym wychowaniu wyjaśniał Dygasiński ponizającą sytuację nauczyciela domowego w rodzinach bogatego obszarnictwa i burżuazji: „Dzieci wychowane w domu rodziców ubogich, nie posiadających środków na utrzymanie bon i guwernerów, którzy częstokroć w domach możnych są tylko naukowymi lokajami (podkreślenie J.Z.J.) dzieci takich biedaków wychodzą, jak to mówią, na ludzi. Tymczasem wielcy panowie uczą się źle w ogóle i tylko wyjątkowo można od nich oczekiwać przysłów pożądanym w każdym człowieku”.

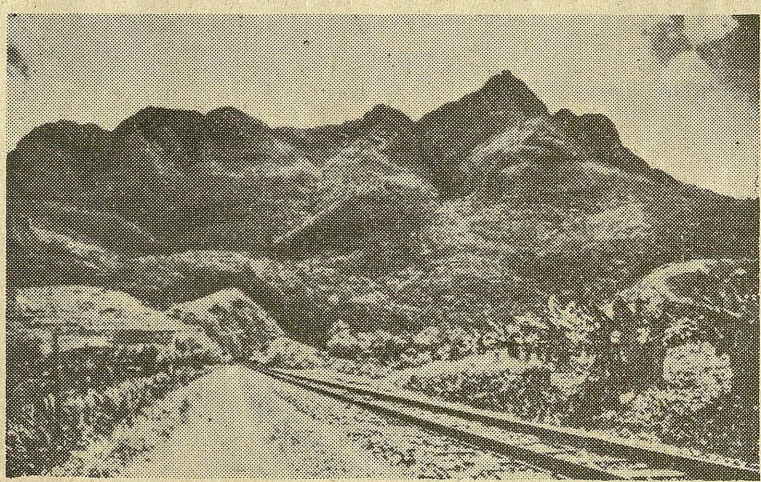
Jeśli nawet wiele położymy na karb nieporadności i niepraktyczności życiowej Dygasińskiego, to przecież w jego losach mamy prawo odczytać dość typową sytuację polskiego pisarza u schyłku XIX wieku, pisarza broniącego swej niezależności od burżuazyjnego wydawcy. Dygasiński, cokolwiek powiemy o jego licznych sprzecznościach i błędach ideologicznych — nie został płatnym apologetą sojuszu burżuazyjno-obszarniczego. Nieuchronnie musiał doznać się losu „proletariatu naukowego”, o którym pisał w roku 1884 („Przegląd Tygodniowy” „Życia Społecznego, Literatury i Sztuk Pięknych”) polemizując z burżuazyjną tezą o nadprodukcji w Polsce ludzi zajmujących się nauką: „Nie trzeba tylko krakać złowieszco po parę kopiejek za wiersz, nie trzeba ludzi zniechęcać bajkami o hiperprodukcji inteligencji, kiedy dokoła panuje nie-uctwo i ciemnota. Zaisie, zbiry odbierają tylko kieski i czasem życie jednostkom, ale tego rodzaju pisar-ze odbierają społeczeństwu to, co może je jedynie odrodzić i podnieść”.

Dygasiński zmarł w Grodzisku pod Warszawą dnia 3. czerwca 1902 roku. Pochowany został na Powązkach.

c. d. n.

JUAN SERRAVERIA

LIST Z BOLIWIJSKIEGO PIEKŁA



BOLIWIA, kraj tysiąca skarbów, z których najważniejszym jest cyna (1/4 produkcji kapitalistycznej) — była do ostatnich dni kolonią kapitalu finansowego Wall Street i londyńskiej City.

Do ostatnich dni, nie dawno bowiem zaszyły tu pewne zmiany i przyszłość rozstrzygnie, czy istotnie powstał wyłom w obozie imperialistów i czy Stany Zjednoczone od-czują to boleśnie na kieszeni (cyna), czy też z utworzeniem rządu Estensera — będzie to jeszcze jeden więcej rząd Pandit Nehru, Mossadeka czy Schumachera.

Z jednej strony nowy rząd pod-wyższył cenę cyny ze 112 centów za 1bs (funt angielski) na 181 centów i przemysł zbrojeniowy USA musi choć z zgrzytaniem zębów tę cenę płacić, bo przecież cyna boliwijska to 50% całego importu Stanów Zjed-noczonych — ale z drugiej strony Wall Street niechętnie płaci za to-war, który tym czy innym szantażem mogła by mieć pół darmo.

A przecież wypróbowana forma szantażu to właśnie takie niby de-mokratyczne rządy, jak w Indiach, czy w Iranie. Oczywiście porówny-wać nie można sytuacji kolonii i Europy, Europa, a więc i Zachodnie Niemcy, ma silną, świadomą swego znaczenia i celów klasę robotniczą, czego w koloniach ze względu na ich małe uprzedmiotowanie i niski poziom oświaty daremnie na razie szukać. Tam też udają się imperia-lizmowi sztuczki, na które w Euro-pie nikt się już nie da złapać.

Demokracje burżuazyjne, gdy za-jrzą im pod podszewkę liberalnego płaszcza, którym się okrywają, oka-zują się zawsze rządami reakcji.

Dlatego też z ostrożnością patrzy-cieść uświadomionych robotników boliwijskich Bolivię na poczynania nowego rządu.

Na razie w życiu robotników nie się jeszcze nie zmieniło. Na razie pracują w tych samych warunkach

i w tej samej nędzy, co za rządów dyktatury. W kopalniach cyny za-robek mimo podwyżki cen na cynę boliwijską pozostał ten sam: 10 cen-tów za dniówkę, tj. około trzech zło-tych.

A jak pracują...

* *

Z ośmiu, z dziesięciu, z dwunastu kraterów biją płomienie pod gwia-zdę niebo.

Jest zimna noc.

Jesteśmy na wysokości 5000 me-trów nad poziomem morza. Płomie-nie wydobywają się z pieców pra-zalnictw, w których oczyszcza się rudę cyny. Te piece to prażalnia „Sw. Teresy” pod Oruro. Święta, której imienia nadużyto dla najwy-żej na świecie położonych zakładów hutniczych — gdyby naprawdę istniała, pewnie nie miałaby ani jed-nej spokojnej nocy w swym grobie. Piece huty cyny pożerają nie tylko rudę i paliwo, ale i niezliczoną ilość istnień ludzkich. Ludzie, Indianie z gór boliwijskich, pracując kaszląc w żarze wielkich pieców, dowożą ru-dę, węgiel, moki, by nigdy nie wyschnąć, przy płuczkach, kąpią się w pocie przy zginiataczach — i w dzień, i w noc od chwili narodzin do szybko tu nadchodzącej śmierci wdychają zgubny, trujący gaz, ula-nijający się z wielkich pieców. Ten gaz — to tlenek arsenu.

Trujący podmuch wieje mi prosto w twarz, pali płuca, muszę kasnąć, kaszle, aż oddech mój zamienia się w bolesną zadyszkę.

W tym momencie ostry dźwięk przerywa względną ciszę nocy. Znam ten dźwięk. Znam ten głos, słysza-łem go w chilijskich saletrowniach, na brazylijskich plantacjach kawy, na robotach kolejowych w Stanach Zjednoczonych. Jest to wezwanie do pracy, grzmiejący rozkaz, który ogłasza jakiś majster, bijąc młotem w wiszący kawałek szyny.

To sygnał zmiany.

Ze wszystkich kątów widzę gra-molących się półprzymrotnych ludzi.

Zmiana oznacza dla indyjskich ro-botników występek miński i wyda-jność pracy, przekraczającą w rzad-kim powietrzu wysokogórskim znacznie możliwości ludzkie. Nowy dzień pracy, to nie tylko zarobek. Każda zmiana zaczyna się tu od do-starczenia robotnikom suszonych liści kokainowa.

Serce ludzkie nie wytrzymałoby pracy na wysokości 5000 metrów, niczyje płucia nie znajdują tu wystar-czającej ilości tlenu i żaden orga-nizm nie oprze się istniejącemu tu niskiemu ciśnieniu.

Ale liście kokainowa zwyciężają naturę!

Z rozpoczęciem każdej zmiany wydzielają się porcje suszonych liści kokainowa, praca rozpoczyna się z półgodzinnym opóźnieniem, a Indianie żują chwień, żują, aż trzcina zaczyna działać. Przed chwilą jesz-cze osłabione, sflakcane mięśnie i te-pie, bez wyrazu oczy ożywiają, mię-snie przęsa się, oczy błyszczą, to nie cud — to kokaina, przyjaciel niosący śmierć. Niepracujący nie otrzymują tego przydatku, a coce jest dla In-dian jednoznaczna z życiem, choć to życie jest bledne i planowo zatr-uwane.

Już noworodek ssie z mlekiem matki narkotyk, a na dziesięcioro dzieci, sześć rodzi się ślepych.

Zatruty kokainą robotnik nie do-czeka się starości — gdy ma 30 lat zaczyna się gwałtowny upadek sił i 40-letni należy tutaj do wyjątków. Właściciele kopalni to nie martwi, weryfikują robotników w całym kraju i ciągle nowi Indianie ciągną przez płaskowyże i przepaści Kordyliarów i Andów po pracę, zarobek i ko-kainę.

Ciasne, jedna obok drugiej wyku-te w jednolitej skale widnieją jaski-nie-mieszkania indyjskich robotni-ków — często przyciępione do wi-szarów skalnych, jak jaskółcze gniazda.

Przed jedną z tych jaskiń jakieś zgromadzenie. Nie rozumiem gardo-wej mowy Indian. Pytam po hiszpańsku. Bezdźwięcznie usuwają mi się z drogi, dając wolne miejsce do jaskini. Człowiek się do środka, gdy oczy moje osuwają się z ciem-nością widzę: oto mały Indianin przyszedł na świat — malutki szkie-lec z twarzą starca, a w oczach północny blask. To mały Indianin, przyszedł na świat — malutki szkie-lec z twarzą starca, a w oczach północny blask. To mały Indianin, przyszedł na świat — malutki szkie-lec z twarzą starca, a w oczach północny blask.

„No sego” — mówi północna dumnie i wyduje mi się, że w jej surowych rysach widzę cień kłtli-wego uśmiechu. „No sego” — „nie ślępy”.

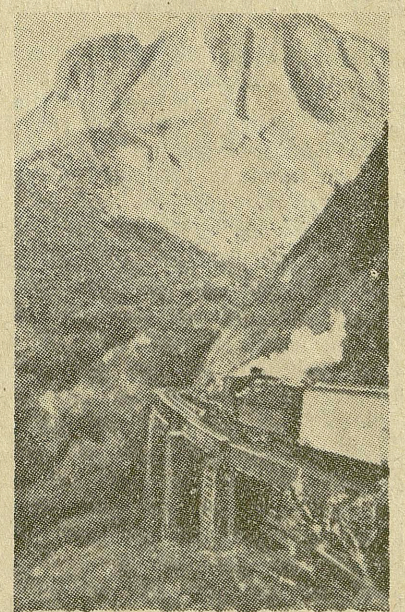
Opuszczam „Sw. Teresę” — mu-szę i ja jeszcze raz zwać gorzkie, jak-by skórzane liście. Droga przez pla-skowyże jest daleka a brak tlenu silniejszy od mego ciała i woli.

Zuję i polykam wstrętny, o meta-licznym posmaku sok. — Potem czu-ję, jak nowe siły zdają się krążyć w moim ciele — serce moje bije zno-wu rytmicznie i płuca oddychają swobodnie.

Ide — daleko za mną pozostały wielkie piece „Świętej Teresy”. Tylko płomienie wydobywające się z ich otworów drżą jak ognie piekieł, rzucając czerwoną poświatę na stro-me zbocza Kordyliarów.

* *

Spotkałem karawanę mułów, któ-re obławowane koncentratami cyny kroczą wolną ścieżką do miasta. Kulawe, z opuszczonymi głowami, wyczerpane do ostateczności zwie-rzęta i kulawy, tak jak one, wyczer-pany poganiacz. Kulawy poganiacz? — Tak. Zamiast jednej nogi ma drewnianą protezę. Wózek z rudą zmiażdżył mu przed kilku laty nogę i teraz, kulując na drewnianej, pogania muły przez płaskowyże. W oczach zwierząt nie ma blasku —



jest w oczach człowieka, gdy mówi — podczas długiej rekonwalescencji po amputacji nogi zapoznał się z socja-lizmem — gdy mówi o zmianach, których oczekuje on i jego uświadomieni towarzysze.

Nie czekamy z założonymi rękami — zwraca się do mnie — coraz więcej broszur, coraz więcej zrozumi-enia wśród wyzyskiwanych i co-rzaz bliżej dzień gniewu ludu. Esten-sero, nie Estensero, ale my musimy wziąć władzę — by wreszcie skoń-czyć chodzący z tym, co senor widział na „Świętej Teresie”.

* *

Słychać pomruki nadchodzącej burzy.

Tum. Jawicz

Jan Zygmunt Jakubowski

NATALIA GAŚSIOROWSKA

KSIĄŻKA O ŻYCIU I DZIAŁALNOŚCI PREZYDENTA BIERUTA

NASZ GOSPODARZ" — to proste określenie zawierające głęboką treść szacunku i zaufania dla człowieka kierującego narodem, rozporządzającym szeroko i mocno utrwaliło się w naszym społeczeństwie w zastanowieniu do Prezydenta Bieruta, świadcząc o przywiązaniu narodu do pierwszego Budowniczego Kraju.

Książka Kowalczyka przedstawia życie Prezydenta od dzieciństwa

Wysłany przez Partię na robotę do Zagłębia, kilkakrotnie aresztowany i więziony organizował spółdzielnie robotnicze rozporządzające własnymi świetlicami, bibliotekami w celu związania z politycznym ruchem robotniczym i wyzyskania wszystkich form łączenia pracy legalnej z podziemną. W Warszawie jako człowiek posiadający doświadczenie pracy legalnej zajmował kierownicze stanowisko w Związku Robotniczych Spółdzielni Spożywców, brał jednocześnie żywy udział

udzielaną ofiarom rządowego terroru.

W końcu r. 1933 Bierut został aresztowany i skazany na długoletnie więzienie, z którego został zwolniony w końcu 1938 roku, już po rozwiązaniu KPP.

W czasie wojny Bolesław Bierut przebywał początkowo w Lublinie, po wkroczeniu okupanta przedostał się do Związku Radzieckiego. W r. 1943 z Mińska wrócił do kraju i stanął do pracy w kierownictwie nowopowstałej Partii Robotniczej, która dążyła do utworzenia szerokiego frontu narodowego pod kierunkiem klasy robotniczej dla walki o narodowe i społeczne wyzwolenie Polski spod jarzma faszystowskiego. PPR wzięła sprawę wyzwolenia „z wiarą w zwycięstwo państwa socjalistycznego, ZSRR, w wojnie z niemieckim faszyzmem” (Bierut). Był to szczególnie ciężki okres walki z okupantem. W bohaterskiej walce z okupantem i rodzinną reakcją PPR wykazywał swój rewolucyjny program działania w oparciu o bojowy sojusz robotników i chłopów, w łączności z bohaterską walką ZSRR. W tej walce, która budowała fundamenty przyszłej Polski, brał jak najczynniejszy udział Bolesław Bierut.

W ciężkich zmaganiach z hitlerowskim napastnikiem zwyciężała Armia Radziecka, wraz z nią dywizje polskie. W Warszawie formowała się polityczna reprezentacja narodu — Krajowa Rada Narodowa, której przewodnictwem KC PPR powierzył Bolesławowi Bierutowi. Na pierwszym historycznym posiedzeniu KRN na przełomie 1943/44 r. został uchwalony program walki narodu — wyzwolenie, przekształcenia gospodarczej i politycznej struktury kraju. KRN toczyła musiała ostrą walkę z reakcją polską w kraju i za granicą. Przewodnicząc KRN wiele uwagi poświęcał sprawie konsolidacji partii biorących udział w froncie narodowym, umocnieniu jednolitego frontu robotniczego i sojuszu — robotniczo — chłopskiego. Wzrastała rola polityczna rad narodowych, kłębiła się Armia Ludowa, z którą łączyły się Bataliony Chłopskie.

Gdy Armia Czerwona a wraz z nią Armia Polska przekroczyła Bug, wydany został w dniu 22.VIII. 1944 r. Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego powołanego przez KRN, określający główne wytyczne nowej władzy ludowej. Bierut z Warszawy przedostał się do swego rodzinnego miasta Lublina, do którego PKWN przenosił się z Chelma i stanął na czele Komitetu. Odtąd stał się „sternikiem rewolucyjnych przemian” w Polsce.

Reforma rolna, nacjonalizacja wielkiego przemysłu, banków i transportu stwarzały warunki dla przebudowy ekonomii kapitalistycznej — obszarowej na socjalistyczną. Dokonana została wielka praca w kierunku zespolenia sił narodu dla walki z reakcją, w celu zapewnienia dalszego rozwoju na drodze postępu i przebudowy społecznej. „Przyszłość Polski pragniemy oprzeć na potężnych i niewyczerpalnych zasobach własnej siły twórczej polskiego robotnika, chłopa, inteligenta, pracownika umysłowego”, mówił Bolesław Bierut na otwarciu Sejmu Ustawodawczego, na którym został obrany Prezydentem Rzeczypospolitej. Rozwijająca się odbudowa zniszczonego kraju, umacniająca się polskość na ziemiach odzyskanych, w życie wchodził pierwszy długofalowy 3-letni plan gospodarczy, przyspieszany przez rozpowszechniające się współzawodnictwo w pracy. W całym tym wielkim, twórczym procesie ekonomicznym, politycznym, kulturalnym, ogólnonarodowym Prezydent Bierut brał jak najczynniejszy bezpośredni udział, szczególną troską otaczając dzieło odbudowy umiłowanej przez naród stolicy. Przelamując przeszkody, opory zmierzał ku utrwaleniu więzi między inteligencją i ludem, ku poparciu produkcji przez naukę i oświatę, ku usprawnieniu metod pracy.

Bolesław Bierut kierował walką o jednolitą linię Partii. Po zwyciężeniu odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego umocniła się „świadomość wielkiej produkcyjnej roli ZSRR i WKPB” w walce o wyzwolenie człowieka, w walce o postęp świata, w walce o niepodległość i suwerenność Polski. Na Kongre-

sie Zjednoczeniowym Prezydent Bierut, referując sprawę podstaw ideologicznych Zjednoczonej Partii dokonał przeglądu 70-letnich dziejów ruchu robotniczego, rewolucyjnej tradycji polskich leżących u podstawy Demokracji Ludowej. Pod kierownictwem Bolesława Bieruta została opracowana Deklaracja Ideowa PZPR, marksistowsko-leninowski Statut Partii, ustalono wytyczne 6-letniego Planu budowy fundamentów ustroju socjalistycznego. Prezydentowi Bierutowi powierzone zostały funkcje Przewodniczącego Komitetu Centralnego Partii.

W etapie zaostrzającej się walki sił obozu Pokoju i Postępu z obozem wojny i reakcji, Bolesław Bierut wytyczył w imieniu kierownictwa Partii jej linię polityczną, sformułował zadania: „Partia nasza kosmopolitizmowi i nacjonalizmowi przeciwna jest prawdziwym patriotyzm i proletariacki międzynarodowy. Na punkcie osiągnięcia planu 3-letniego Polska Ludowa wykonując testament całych pokoleń wal-

wskreszenia i zabezpieczenia bytu narodowego Polski.

Zmieniała się struktura zawodowa ludności polskiej, powiększała się klasa robotnicza, czołowa siła narodu. „Posunęliśmy się już znacznie po drodze przekształcania się w naród socjalistyczny” (Bierut). Hasło ogólnonarodowego frontu walki o Pokój i Plan 6-letni stało się potężnym orężem Polski Ludowej. Sprawa spółdzielczości produkcyjnej na wsi, rozbudowa przemysłu ciężkiego wystąpiły na plan pierwszy w jej dążeniach gospodarczych. Prezydent z rozwagą ekonomiczną kraju wiał potrzebę kultury narodowej, oświaty i nauki, dając wskazania „upowszechnienia kultury, dźwignięcia jej na wyższy poziom, udostępnienie jej wszystkim ludziom pracy”, włączenia się nauki w twórczy decydujący wysiłek narodu.

Epokowe przemiany utrwaliła nowa Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, ustalając prawa i obowiązki narodu, rozwijając twórczą aktywność mas. W pracy

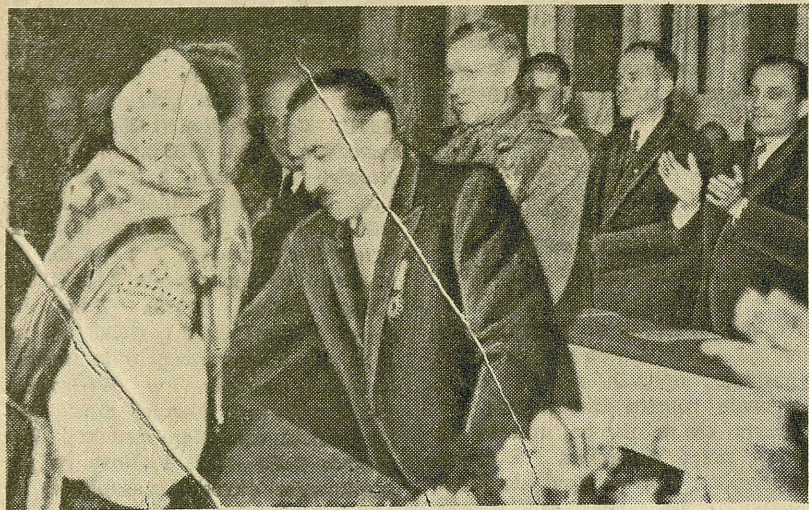


Foto CAF

spędzonego w trudzie i niedostatku poprzez „górną i chmurną” młodzież rewolucjonistów i wiek męski — wiek ciężkich walk zakończonych ostatecznym triumfem.

Te etapy życia Bolesława Bieruta, to jednocześnie dzieje całego proletariatu polskiego, który po latach ucisku społecznego i narodowego, ciężkich bohaterskich walk o wyzwolenie spod jarzma caratu, sanacyjnej „burżuazji” i niemieckiego faszyzmu zwycięsko ujął rządy w swe ręce. Życie jednego człowieka jest tu jakby wykładnią losów narodu w ciągu 60-lecia 1892 — 1952.

Bolesław Bierut urodził się w r. 1892, w roku pierwszego strajku powszechnego w robotniczej Łodzi. Uczył się w szkole rosyjskiej. Dzieciństwo przeżył wraz z rodziną w trudnych warunkach pracy i niedostatku.

W r. 1905 długoletnia podziemna walka ludu z caratem wybuchła w postaci rewolucji, pierwszego po Komunie Paryskiej potężnego ruchu klasy robotniczej. Młody chłopiec na swoim szkolnym odcinku życia włączył się czynnie do powstającego „buntu”, w rezultacie został usunięty ze szkoły.

Kończył się dzieciństwo, zaczynała się trudna młodość. Przerzucanie się do coraz to innego okolicznościowego zajęcia zarobkowego nie zahamowało upartego dążenia do samokształcenia, do gromadzenia wiedzy, uporczywego poszukiwania podstaw światopoglądu naukowego w oparciu o bogatą lekturę, wykłady, dyskusje z towarzyszami i czujną obserwację rzeczywistości społecznej. Młody Bierut traktował życie jako walkę, której celem było pokonanie despotyzmu carskiego i zniesienie niesprawiedliwego systemu krzywdy społecznej. To wpłynęło na jego ideową i umysłową dojrzałość, na ukształtowanie się wolnej od dogmatów myśli, na zahartowanie charakteru człowieka ofiarne oddane sprawie.

Po r. 1905 nastąpił okres reakcji terroru. Kapitałantwizm zastraszający liberalów burżuazyjnych przeciwstawiał się rosnące siły proletariatu gotującego się do nowej walki, czekającego na przypływ fali rewolucyjnej. W oparciu o tradycję walk 1905 r. kłębiły się nowe bojowników w nielegalnie działających organizacjach socjalistycznych: SDKPiL oraz PPS-Lewicy, w postępowych stowarzyszeniach oświatowych, oddziałujących zwłaszcza na młodzież i przygotowujących nowe kadry działaczy społecznych. Młody Bierut wchodził tu w szranki walki o postęp, o wolność narodu, o wyzwolenie mas robotniczych od kapitalistycznego ucisku.

Po wybuchu pierwszej wojny imperialistycznej Bolesław Bierut na terenie Lublina brał udział w akcji prowadzonej przez obywateli partii socjalistycznej przeciw wojnie, przeciw imperializmowi. Pracował głównie w zakresie spółdzielczości, z którą wiązał działalność oświatowo-kulturalną wśród robotników.

Nadszedł rok 1917. Do Polski docierały wiadomości o zwycięstwie Wielkiej Rewolucji Październikowej, o przejściu władzy w ręce robotników i chłopów, o ogłoszeniu przez nowy rząd zasadzie swobodnego stanowienia narodów o swym losie, o przyjaźni i współpracy między ludami, o wywołaniu rewolucji w ludów całego świata.

W tym czasie Bolesław Bierut, ukrywając na wsi przed okupantem austriackim, poznając życie chłopów, którzy mieli stać się sojusznikiem proletariatu w walce wyzwolenie. W r. 1918 przybył do Warszawy. Kończyła się wojna. Organizowały się Rady Delegatów Robotniczych. Bierut brał udział w ich akcji, początkowo na terenie Warszawy, następnie Lublina. Po powstaniu Komunistycznej Partii Polski Bierut stał się jej członkiem, jako człowiek dojrzały do czynu, do walki w szeregach robotniczych.

1) J. Kowalczyk, Bolesław Bierut. „Książka i Wiedza” 1952.

w pracy na terenie Uniwersytetu Ludowego, Kasy Chorych, Spółdzielni Mieszkaniowej.

W okresie stabilizacji rządów pilsudczyków po r. 1926, Bierut stanął do walki partyjnej przeciw dyktaturze sanacyjnej. Jednakże groźba poważnego oskarżenia za działalność w Zagłębiu zmusiła go do schronienia się za granicę. Okres emigracji wyzwał dla pogłębienia swej wiedzy społeczno-ekonomicznej, w Moskwie zaś studiował marksizm-leninizm.

W r. 1931 Bolesław Bierut wrócił do kraju, gdzie początkowo stanął do pracy partyjnej w okręgu łódzkim, następnie objął kierownictwo MOPR-u, organizacji pomocy rewolucjonistom przeznaczonych przez partię komunistyczną do walki z faszyzmem poprzez pomoc i opiekę

CZESŁAW CZERNAWSKI

GDY W SERCACH WZBIERAŁ GNIEW

Przejrzyjcie chociażby tytuły artykułów na pierwszych kolumnach gazet z owego roku.

„Włosi przygotowują nową ofensywę... Natarcie ma iść w kierunku stolicy, Addis Abeby”, „Niemcy przygotowują zamach na zdemilitaryzowaną strefę nadreńską”, „Niemcy zawarli sojusz z Japonią”, „Ponad 5 miliardów na zbrojenia — Anglia przeznacz 25% swego budżetu na armię, marynarkę i lotnictwo”, „Woj-ska tureckie zajęły Dardanele”.

A w kraju: „Na Górnym Śląsku zanosi się na strajk”, „W rolnictwie kryzys trwa nadal”, „Już 7 dni w podziemnych kopalniach. Rozpaczliwa walka 2000 górników o byt”, „W Łodzi wybuchł strajk powszechny... Wczoraj strajkowało 52000 robotników w 450 fabrykach”, „Starcie policji z bezrobotnymi we Lwowie”, „W Hiszpanii nie ma dnia bez rozruchów”, „We Francji zwyciężają grupowania skrajne... Komuniści podwoili liczbę głosów”.

Był to rok 1936.

Noc sylwestrowa r. 1936. W Toruniu, w willi wojewody Kirtiklisa, w siedzibie starosty grodzkiego Skórewicza i innych, do rana jarzą się wielkie okna.

Sanacyjna śmietanka, akcjonariusze Polsko — Belgijskiego Towarzystwa, do którego należała fabryka „Polchem”, właściciele fabryki „Born i Schütz”, „Gustav Weese” i inni przedstawiciele toruńskiego świata interesów wesoło i bez troski bawili się w nocnych lokalach.

To jeden obraz Torunia, a teraz drugi.

„Wyjdźcie za miasto a zobaczycie nędzę ludzką w całej nagości i w całej okropności faktów — pisał niejaki Cui, w reportażu drukowanym w endeckim, „opozycyjnym” względem sanacji, „Słowie Pomorskim” w dniu 2 lutego 1936 r. (a więc miesiąc po nocy sylwestrowej) — W śródmieściu nędzy nie widać, swoi i przyjeźdźni podziwiają ratusz, oglądają ruiny zamczyska; zmęczonych i znudzonych gospodarz Artura raczy w borową lampką starego wina. Tu i tam — wystarcza kamienica i historyczna piękność miasta.

Może właśnie dlatego fabryczna Łódź chłowa swoje Bałuty i może dlatego... daleko na północnych krańcach Warszawy ojcowie miasta rozłożyli nędzę Annapola. Może właśnie dlatego...

„Na 1 izbę - nogę, wymiaru 5x4 m przypada według naszych obliczeń 8 osób, jedna, albo więcej rodzin.

Jak śpią — pytanie? Zwyczajnie. Cztery osoby w łóżku, dwie na podłodze, jedna na stole — jeżeli na taki luksus w ogóle jest miejsce, częściej pod łóżkiem”.

Toruń, uchodził za miasto zdecydowanie chładowe.

Trzy, cztery większe fabryki nie nadały miastu charakteru przemysłowego. A przecież była tu klasa robotnicza. Mówią o tym 4000 bezrobotnych w r. 1936. Drugie tyle jeszcze pracowało u Bornów, Schützów i Weesów. A ile tysięcy było rozproszonych po różnych usługach przedsiębiorstw handlowych, sklepów, warsztatów... Ile w domowych, przydomowych, podwórkowych i domowych wynajmami. Taki rozkład sił proletariatu nie sprzyjał oczywiście jego koncentracji. Był on rozproszony i podzieleny. Kilka fabryk symbolizowało miejsca uprzywilejowane, miejsce stałej pracy. Wokół robotników fabrycznych kłębiło się morze niezorganizowanych poszukujących pracy, których zatrudniał „patryarchalny”, kupiec, przedsiębiorca i „lepszy dom”.

Mimo tak trudnego środowiska, istniała w Toruniu i działała organizacja KPP. Nieliczna wprawdzie, ale utrzymująca łączność z siłą, bojową komórką KPP w niedalekim Włocławku. Potrafiła ona przez szereg lat prowadzić pracę polityczną wśród robotników toruńskich, z roku na rok podnosząc i wzmacniając ich świadomość klasową. Terenem najbardziej pilnym dla pracy agitacyjnej stały się rzemieślnicze, którzy wszystkie prawdy o kapitalistycznym wyzysku poznali najlepiej, bo na przykładzie swego życia, w których z roku na rok wzbielała fala nienawiści, ale i ślepego na razie jeszcze gniewu i buntu. Towarzysze z KPP jak: Nowicki, Daniszewski, Siwek, Głazowski, Jarecki czynili wszystko, aby ten gniew stał się gniewem klasowo świadomym, uczyli że w walce o lepsze warunki bytu należy się organizować należy brać przykład z robotników i chłopów Związku Radzieckiego, którzy potrafili na zawsze uwolnić się od kapitalistycznego wyzysku. Toruńska organizacja KPP, szczególnie aktywną działalność rozwijała na terenie klasowych związków zawodowych, sekretarzem których był Julian Nowicki.

Prasa toruńska doniosła w sobotę dnia 16 maja 1936 r.: „Bezrobotni chcą pracy! — Dziś rano wybuchł strajk robotników zatrudnionych przy pracach dozących”. — „Dziś o godz. 8.30 rano grupy bezrobotnych wraz z żonami zebrały się w okolicy restauracji „Eldorado” przy Szosie Chelmińskiej. Po krótkiej chwili kobiety rozszły się do domów, bezrobotni natomiast udali się na miejsce prac dozących, przeprowadzając obecnie przy pomocy Funduszu

Pracy na „Kozackich Górach”, na ul. Legionów itd.”

Tam bezrobotni zdążyli nakłonić zajętych przy pracy robotników do „porzucenia roboty”.

Bezrobotni i robotnicy, którzy porzucili pracę udali się ponownie w kierunku „Eldorado”, gdzie miało się odbyć zebranie. „Władza” czuwała. Na skrzyżowaniu ulic gen. Bema i Szosy Chelmińskiej pochód został zatrzymany przez oddział uzbrojonej policji, która śpiesznie przybyła tu samochodem ciężarowym. Z policją przybył też starosta grodzki, Skórewicz.

Robotnikom nie szło o wywołanie awantury z policją, toż rozszli się, aby grupami dotrzeć do „Eldorado”, gdzie odbyło się zebranie. Ustalono tutaj żądania oraz wybrano delegację, celem odbycia pertraktacji z przedstawicielami władz. Przez cały czas, na ulicy w pobliżu lokalu czuwały uzbrojone oddziały policji, gotowe do akcji przeciw strajkującym. Ci jednak zachowywali spokój, lecz zdecydowaną postawę, poprzecz swoich delegatów prowadząc rozmowy ze starostą, który usiłował skłonić ich do pogroźkami i obietnicami do zaniechania strajku.

— Chcemy mówić z wojewodą — Żądamy pracy dla wszystkich, żądamy, by nam płacono według taryfy. Delegaci zostali przyjęci przez wicewojewodę „Szczepańskiego, przydzielonego do Biura Funduszu Pracy Wojewódzkiego, z którymi odbyłi prawie 2-godzinną konferencję.

— Żądamy równomiernego podziału pracy między wszystkich bezrobotnych i plac podwyższonych do normy obowiązujących taryf. — Takie były postulaty robotników.

W wyniku konferencji bezrobotni nie uzyskali nic ponad ciche obietnice. Aby ich jednak uspokoić i ugłaskać uludą zmianą sytuacji, wicewojewoda zgodził się na powołanie komisji złożonej z przedstawicieli wojewódzkiego i Zarządu Miejskiego oraz robotników. Komisja ta miała za zadanie pilnować, aby postulaty bezrobotnych były uwzględniane przy rozdziale prac.

Bardzo szybko okazało się, że powołanie komisji było zwykłym, jeszcze jednym oszukiwaniem manewrem władz w stosunku do robotników. Prac nadal otrzymywali tylko ci bezrobotni, płacę nadal odbiegali od normalnych taryf.

Nadszedł dzień 8 czerwca. Tego dnia znowu odbywało się, jedno z kolejnych, zebranie bezrobotnych i „dożaniaków”. Dyskusja znowu toczyła się wokół działalności komisji, wokół zapewnienia władz. Większość bezrobotnych widziała jasno, że się ich oszukuje, że nie pomogą tu żadne układy, byli również pogodzeni, idący na lep PPS-owskiej agitacji. Towarzysze z KPP: Nowicki, Głazowski i inni zdecydowanie przeciwstawiali się tym nastrojom.

czących o Polskę wolną i ludową, wytyczyła śmielsze jeszcze cele w Szóstym Planie budowy podstaw socjalizmu. „Przyjaźń, przykład, pomoc ZSRR — oto podstawowe źródło naszych zwycięstw”, stwierdził Bolesław Bierut, podkreślając szczególnie zasługi Stalina w dzie-

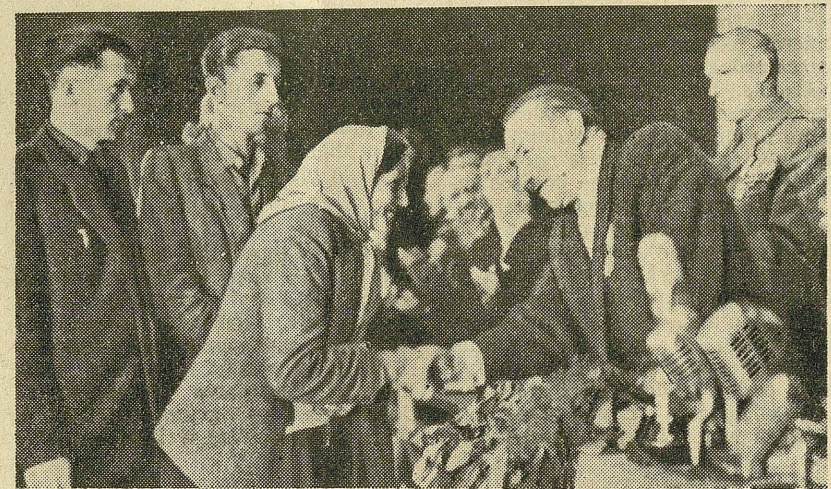


Foto CAF

W 16-tą rocznicę strajku w Toruniu

Pracy na „Kozackich Górach”, na ul. Legionów itd.”

Tam bezrobotni zdążyli nakłonić zajętych przy pracy robotników do „porzucenia roboty”.

Bezrobotni i robotnicy, którzy porzucili pracę udali się ponownie w kierunku „Eldorado”, gdzie miało się odbyć zebranie. „Władza” czuwała. Na skrzyżowaniu ulic gen. Bema i Szosy Chelmińskiej pochód został zatrzymany przez oddział uzbrojonej policji, która śpiesznie przybyła tu samochodem ciężarowym. Z policją przybył też starosta grodzki, Skórewicz.

Robotnikom nie szło o wywołanie awantury z policją, toż rozszli się, aby grupami dotrzeć do „Eldorado”, gdzie odbyło się zebranie. Ustalono tutaj żądania oraz wybrano delegację, celem odbycia pertraktacji z przedstawicielami władz. Przez cały czas, na ulicy w pobliżu lokalu czuwały uzbrojone oddziały policji, gotowe do akcji przeciw strajkującym. Ci jednak zachowywali spokój, lecz zdecydowaną postawę, poprzecz swoich delegatów prowadząc rozmowy ze starostą, który usiłował skłonić ich do pogroźkami i obietnicami do zaniechania strajku.

— Chcemy mówić z wojewodą — Żądamy pracy dla wszystkich, żądamy, by nam płacono według taryfy. Delegaci zostali przyjęci przez wicewojewodę „Szczepańskiego, przydzielonego do Biura Funduszu Pracy Wojewódzkiego, z którymi odbyłi prawie 2-godzinną konferencję.

— Żądamy równomiernego podziału pracy między wszystkich bezrobotnych i plac podwyższonych do normy obowiązujących taryf. — Takie były postulaty robotników.

W wyniku konferencji bezrobotni nie uzyskali nic ponad ciche obietnice. Aby ich jednak uspokoić i ugłaskać uludą zmianą sytuacji, wicewojewoda zgodził się na powołanie komisji złożonej z przedstawicieli wojewódzkiego i Zarządu Miejskiego oraz robotników. Komisja ta miała za zadanie pilnować, aby postulaty bezrobotnych były uwzględniane przy rozdziale prac.

Bardzo szybko okazało się, że powołanie komisji było zwykłym, jeszcze jednym oszukiwaniem manewrem władz w stosunku do robotników. Prac nadal otrzymywali tylko ci bezrobotni, płacę nadal odbiegali od normalnych taryf.

Nadszedł dzień 8 czerwca. Tego dnia znowu odbywało się, jedno z kolejnych, zebranie bezrobotnych i „dożaniaków”. Dyskusja znowu toczyła się wokół działalności komisji, wokół zapewnienia władz. Większość bezrobotnych widziała jasno, że się ich oszukuje, że nie pomogą tu żadne układy, byli również pogodzeni, idący na lep PPS-owskiej agitacji. Towarzysze z KPP: Nowicki, Głazowski i inni zdecydowanie przeciwstawiali się tym nastrojom.

Nie wszyscy dziś żyją towarzysze Juliana Nowickiego, ci, którzy kierowali walką klasy robotniczej Torunia w 1936 roku.

— Trzeba się uczyć z doświadczeń historii, gdyż jest ona najlepszą szkołą rewolucyjnej działalności społecznej”.

Bolesław Bierut.

Natalia Gaśsiorowska

Praca Józefa Kowalczyka, której treść powyżej przedstawiłam, to zarówno historia epoki, w której żył i działał Bolesław Bierut, jak i historia jego życia i działalności, roli, jaką odegrał w naszej epoce. Autor książki rysuje portret człowieka: dziecka, młodzieńca, męża stanu na najwyższym stanowisku w Państwie i w Partii. Książka w swej treści jest interesująca dla polityka, działacza społecznego, dla historyka, przedstawia piękny wizerunek Obywatela. Czytelnik — robotnik lub chłop dojrzy na torach życia Bolesława Bieruta chłopca — robotnika z pochodzenia — drogę pnącą się poprzez zapory wzniosłe — stojącą przed nim do zdobycia.

Pod piórem autora zarysowuje się nie tylko historia Bolesława Bieruta, ale występuje też Bolesław Bierut jako historyk. Urodzony historyk — był on badaczem rozwoju myśli polskiej, dojrzałą na podstawie twórczego stosowania teorii materializmu historycznego oraz badaczem czynu polskiego, który dokonywał się w ramach dziejów walki o społeczne i narodowe wyzwolenie, na ostatnim jego etapie — związanej z doświadczeniem własnego życia i walk Prezydenta Bieruta.

Zgodnie z nauką Stalina o związku rewolucyjnej teorii z praktyką rewolucyjną Bolesław Bierut w badaniu i rekonstrukcji najnowszych dziejów Polski — ostatnich 70 lat — łączy analizę ruchu robotniczego z głęboko umiowaną teorią marksistowsko-leninowską, która pozwoliła krytycznie ocenić przeszłość i stworzyć właściwą koncepcję prawidłowego dalszego rozwoju dziejów Polski w ustroju demokracji ludowej, w okresie budownictwa socjalistycznego.

Gorący patriota i głęboki internacjonalista, wróg nacjonalizmu i kosmopolityzmu reprezentując Polskę w przełomowym okresie jej dziejów widział jej przyszłość w obozie postępu, u boku pierwszego państwa socjalistycznego — ZSRR i demokracji ludowych, w szerokim powiązaniu z międzynarodowym ruchem robotniczym.

Książka przedstawia dzieje polski, dzieje pracy i walki polskiej klasy robotniczej w ostatnim okresie; na tym tle występuje postać jej Bohatera, Człowieka, którego cechowała „głęboka prawda płynąca z głębi serca i wielka miłość do ludzi” (słowa towarzysza robotnika).

Książkę powinni studiować współobywatele Gospodarki kraju — dla zrozumienia i oceny swojej postawy wobec Polski Ludowej i jej Prezydenta. Jej treść stać się powinna przedmiotem głębokich rozważań młodzieży polskiej, pragnącej poznać istotę najnowszych dziejów ojczyzny, okresu, gdy pierwszym Budowniczym Kraju, jego Gospodarzem, Prezydentem Rzeczypospolitej został syn klasy robotniczej, która stała na czele w walkach o wolność narodu — Bolesław Bierut.

„Trzeba się uczyć z doświadczeń historii, gdyż jest ona najlepszą szkołą rewolucyjnej działalności społecznej”.

Bolesław Bierut.

Natalia Gaśsiorowska

FRANCISZEK FENIKOWSKI

Przed Złotem Młodych Przetwórców(II*)

STANISŁAW PIĘTAK

STOCZNIOWCY Z „MŁODEJ GWARDII”

D A W N E L A T A



BYŁO to wiosna 1949 roku. Nad stocznia gdańską — pławiskiem kolejowych torów, budynków z czerwonej cegły, zakopconych hał, tętniących pracą doków, nabrzeży, basenów i pochylni jarzyło się słońce majowe, ostre jak laboratoryjna lampa. Szedłem szybko między ścianami trasami i kadłubowni. Przeciagle gwizdała lokomotywa; ciągnęła, zasapana jak astmatyczka, ogromny dźwig po lśniących szynach. Przy nabrzeżu wyposażeniowym czerwienili się sylwetki „Soldka” i „Jedności Robotniczej” — pierwszych zbudowanych przez nas rudowęglowców. Ludzie w zasmolonych kombinizonach snuli się skrzętnie jak mrówki po wielkim mrowisku. Wreszcie za głosem ostatniej hali wynurzyły się dwie pochylnie.

Na jednej z nich czerwienił się wczoraj gotowy już kadłub rudowęglowca, odświeżone przystrojone flagami kodu. Tłum czerniał na nabrzeżu. Rozlegała się muzyka i słowa przemówień. Helena Motłega, stara robotnica warszawska, a dziś matka chrzestna tego statku, mówiła powoli i wyraźnie:

— Ja ciebie chrzczę dla uczczenia święta klasy robotniczej imieniem „1 Maja”...

Butelka szampana rozprysła się na burcie i rudowęglowiec, wyzwolony z kłóców hamulcowych, spłynął na wodę basenu przy dźwiękach hymnu narodowego i ryku wszystkich stocznioowych syren.

Teraz pochylnia ta była pusta. Za to obok, wśród sieci drewnianych rusztowań, rósł z rdzawych blach kadłub następnego z kolei statku. Przed nim stała tablica, na której barwily się dwie linie: czerwona i niebieska. Były to krzywe przystroju ciężaru na pochylni: planowana i rzeczywista. Wspinali się po drabinkach miesiąc równomiernie. Nieraz jednak rzeczywista wyprzedzała planowaną. Tu właśnie, pod tą tablicą, spotkałem Fraszcza. Wysoki chłopak w poplamionym kombinzonie rozwijał z papieru chleb, jadł śniadanie...

— Robię tu od niedawna — powiedział, usiłując przekrzyknąć stukot i terkot nielichotnych młotków. — O robocie to najlepiej i najdokładniej powie majster Patok. Ja...
Mój nowy znajomy, Marian Fraszcza, urodził się w Poznaniu, na Dębie — przedmieściu, leżącym między dębina, porastającą niski brzeg Warty, a dymiący kominami „Cegielskiego”. Kiedyś, jeszcze w czasach przedrozbiorowych, osiedlono tam ludzi spod Bambergu. Zagrody „bambrow”, jak poznaniacy nazywają chłopów, stoją i dziś. Ale obok nich wrosły domy i domki, w których zamieszkał robotniczy pracujący w pobliskiej, największej fabryce Poznania, „U Ceglarsza” zaczął też swą karierę życiową kilkunastoletni Marych. Drugim dopiero jej etapem była stocznia. Fraszcza znalazł się tu w dwa lata po wojnie razem z ojcem, który porzucił pracę w poznańskich wodociągach dla ciekawszej i lepiej płatnej roboty przy budowie statków. Ojciec pracował przy izolacji rur, syn chodził na kurs montażu okrętowego. Kiedy zaczął montować, czuł się trochę nieswojo wśród żebier, wręgów i grodzi. Teraz już to uczucie minęło. Ale jeśli chodzi o dokładne informacje, to jednak majster Patok lepiej poinformuje...

Cóż było robić? Zaczęłem szukać Patoka. Znalazłem go w drewnianym baraku przy drugiej pochylni. Stary majster, człowiek o grubo ciosanych rysach, przegladając jakieś zapiski. Postacią swą, zbudowaną krzepko jak gdański mur, wypełniał całe niemal wnętrze budki.
— Dzień dobry! — powiedziałem.
Powoli podniósł na mnie oczy znad papierków — i wyciągnął rękę. Paweł Patok to gdańszczanin z dziada pradziada.

15 kwietnia 1945 r. wojsko radzieckie zdało Polakom rozminowaną kadłubownię. Robotnik polski wrócił na dymiące rumowisko, które jeszcze do niedawna było wojenną kuźnicą „Schichauwerke”, aby pobydować tu kuźnię pokoju.
— Zabraliśmy się do roboty — wspomina Patok — choć ludzie nie wierzyli, że będzie co z tego, bo strasznie tutaj wyglądało. Gruzy, zgłiszczona, góry polamanego żelastwa, rdzewiejące po basenach

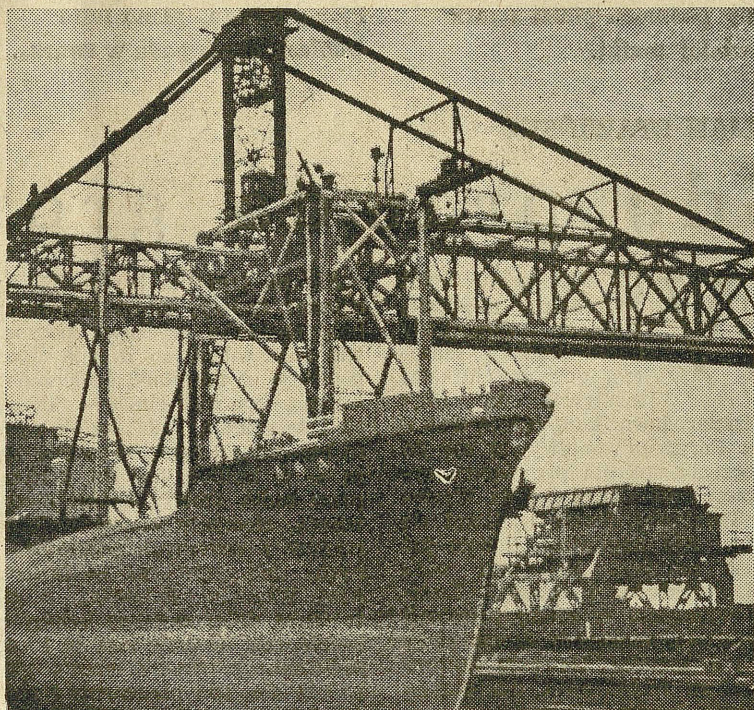
*) Patrz numer poprzedni: Edward Szuster: „Na tropach sprawy Balcerka”.

wraki. Brakło też fachowców. Ot i dzisiaj na czterdziestu paru pracujących u mnie ludzi jest bodaj trzech takich, co pracowali na stoczni przed wojną. Na ogół pojeżdżali się z całej Polski, ze wsi, z fabryk... O budowie statków żaden nie miał pojęcia. A statki, jak kobiety, mają swoje humory. Nieraz utrudniają robotę jak tylko mogą. Zwłaszcza jak „wyczują” rękę nowicjusza.

— Ale mimo to stocznia ruszyła! — wtrącam.

— Ruszyła i to szybko! — potwierdza z dumą majster — Już 30 marca 1946 roku ukończyliśmy dziewięćdziesięcioprocentowy remont „Krakowa”. Potem wzięliśmy się za „Olsztyn”, „Deltę” i „Wartę”. Mimo wszystkich trudności robota odchodziła terminowo... Wreszcie położyliśmy stępkę pod rudowęglowca... O, popatrzcie — wskazał okno baraku, za którym rudił w sieci rusztowań kadłub nowego statku — rosła jak cholera... Aż trudno uwierzyć, że budują jak takie knopy, jak choćby ten Fraszcza, co was do mnie przyprowadził...

Minęły trzy lata. Jest marzec 1952 roku. I oto znowu jestem w krajozrazie stocznioowym dość niezwy-



kłym dla oczu człowieka z lądu. Kadłuby budowanych statków, chropawe, szarobrunatne, przypominają nieco ławice wielorybów, wyrzuconych na pęsepy brzeg falami sztormu, a nieco emmentarsko jakichś przepłotowych zwierząt. W dali pod wyniosłym stalowym żurawiem piętrzy się potężny i gotów prawie do wodowania „lewant”, na wodzie basenu kołysze się inny, spuszczony już kadłub, na pochylni jak żebra ogromnego szkieletu czernią się wręgi nowobudowanego statku, tuż przy nich zaś wznoszą się w gęstwinie rusztowań dwa rybaczkie trawlerzy.

Przy lewej burcie, stoją przewidywane drewniane schodki. Dwie zawieszono na ich poręczach tablice głoszą, że pracują tu brygady młodej gwardii: montera „Im. Młodej Gwardii” i spawaczy „Im. Juliana Marchlewskiego”. Wspinam się na górę. Na najwyższym stopniu spotykam Jerzego Kościńskiego, absolwenta „Conradinum” i opiekuna brygady.

— Na stałe pracuję tu dopiero od czerwca — mówi po przywitaniu. — Miałem szczęście, trafiłem właśnie na moment przełomowy. Powstanie brygady „Młodej Gwardii” przekonało wszystkich, że młodzi potrafia budować statki niegorzej od starych...

— A co? — wtrąca się nagle jakiś piegawaty chłopak w wielkich skórzanych rękawicach spawacza. — Nawet „brygada starców” musi to dziś przynajmniej.

Wóscibski spawacz to Heniek Warzyński z Otwocka (wykonuje przecięnie 207 proc. normy). Od niego to dowiaduję się, że „brygada staruszków” nazywają młodzieńców budowniczych sąsiedniego trawlera.

Tymczasem poznaję coraz to nowych chłopów, budujących te jednostki, oznaczoną w aktach numerem „200 004”. Po mokrych blachach pokładu uwijają się chłopcy w roboczych kurtkach. Niektórzy mają na głowach pogniecione cyklistówki, inni czapki narciarskie, inni jeszcze furażerki z orzełkiem „SP”. Brygada „Młodej Gwardii” składa się bowiem poza brygadziwą z sześciu monterów i dwudziestu junaków. Niejeden z nich, kiedy przyjechał tu z Kieleckiego jak Franek Gawrych, spod Włodawy, jak Włodek Cybulski czy z wielkopolskiego Wolsztyna, jak Heniek Figiel, czuł się z początku „dosyć głupio”. Ale w domu nie mieli co robić, a morze ciągnęło ich, zwłaszcza, że każdy prawie miał jakiegoś krewniaka czy znajomego, który pracował na Wybrzeżu i przyjeżdżając na urlop opowiadał rzeczy, porównując wyobraźnię młodych słuchaczy...

Dlatego zgłaszali się ochotniczo na wyjazd do Gdańska.

— Pewnie, bo i co mieli w domu robić? — potakuje młody monter Laskarzewski, syn chłopca spod Pułtuska, poprawiając swój zawadiacki beret. — Ze mną było tak samo! Kuzyn mi namówił, Pra-

cował tutaj od trzech lat. Tak opowiadał o swojej robocie, że spał walemanatki i przyjechałem...

— Mnie zachęcił mój brat — wtrąca inny chłopak. — Skończył szkołę rybacką i pływa teraz na „Uranii”, rybackim trawlerze, takim jak ten, co tu budujemy...

— Przyjdzie 24 marca — proponuje junak Zdźich z Lubelszczyzny — wtedy będzie zapięty już „na ostatni guzik”.

— A jaki jest dziś stan robót?

— Zakładamy już nadburcie — odpowiada nowy robotnik, który wyszedł właśnie z nadbudówki.

To brygadziwa „Młodej Gwardii”. Nosi, jak wszyscy tu niemal, ciepłą watówkę. Na głowie ma sfatygowaną narciarkę. Pod czarnym daszkiem czapki widzę spokojne oczy, pociągłą twarz, niedokładnie ogolony podbródek i trudno mi uwierzyć. Przecież to Fraszcza, chłopak, którego trzy lata temu spotkałem pod kadłubem „Pstrowskiego”, w ten sam dzień, kiedy majster Patok opowiadał mi...

Posłuchajmy historii awansu chłopaka „od Ceglarsza”.

Zachęcał i pomagał mu na każdym kroku Karol Hajduga, dwudziestoparoletni, rzutki inżynier,

przekonał go jednak nie tylko awans i zarobek. „Zaraził się” entuzjazmem kolegów. Bo zapalał brygadysty i młodego inżyniera rozjaśnił się tu, jak błękitny płomyk acetyleny i rozsyłał się iskrami dookoła, zajmując wszystkie serca. Junacy z „SP”, chłopcy, którzy zjechawszy z odległych wsi Kieleckie, Lubelszczyzny, Podlasia, w Gdańsku zobaczyli po raz pierwszy nie tylko okręty, ale i nieznanie niektórym dotąd tramwaje, polubili niezwykłą robotę, przejęli się nią, a powątpiewanie i żarty starych stocznioowych podsyliły jeszcze ich ambicję.

— Patrzcie, patrzcie! Oni chcą sami pobydować statek? — trzęśli się ze śmiechu „staruszkowie”.

— Fraszcza to może i dałby sobie radę. Spod mojej ręki wyszedł! Dostał dobrą szkołę na „Soldku” i „Pstrowskim” — mruczał majster Patok ilekroć z podległego mu „Terenu B.” zaszedł na pochylnię.

— Ale inni? Zginiecie, jak przyjdą dna podwójne! Tymczasem w rekordowym tempie zmontowano i dna podwójne i fundamenty: kotłownię i maszynownię. Wyrosły żebra wręgów, grodzie i bunkrowe przegrody. Kształt trawlera rysował się na pochylni coraz wyraźniej. Wtedy, żartowniście zmienili zdanie:

— Dna to jeszcze nie! Zobaczymy, czy sobie poradzą z pokładem?

Wiedzieli już jak będzie. Chłopakom zbrzydnieł pośpiech, zaczęła się „drysować”, chować po kadłubie i, klapa murowana.

Kiedy zaś i ta trudność została pokonana, gdy położono pokład, „staruszkowie” zaczęli z innej beczki:

— Najtrudniejsze to nadbudówki! Na nich polamiecie sobie żęby jak amen pacierzu...

Majster Patok nie już nie mówił, tylko jego krzepka postać nieraz czerniała na brzegu pochylni. Pochylał się lekko naprzód, w stronę trawlerowego kadłuba, wielkie ręce wpychał w kieszenie kurtki i bez słowa patrzył na uwijających się po rusztowaniach i pokładzie chłopaków. Szybko zrozumiał, że i nadbudówki nie potamia młodym żębom. Patrzył, jak fachowo, przy pomocy pionu i poziomicy, ustawiali płyty, wznosili nadbudówkę, jak zmontowali tylnicę i przystąpili do montażu dziobnicy...

Widzieli to inni.

— W tym musi tkwić jakiś sekret — przypuszczali.

A sekretem był po prostu zapal, wytrwałość i organizacja kolektywnej pracy. Codziennie przed rozpoczęciem roboty chłopcy urządzali czy to pod dnem, czy potem na pokładzie, naradę produkcyjną. Omawiali osiągnięcia, dzielili doświadczeniami, zastanawiali się nad usunięciem przeszkód.

Nie czekano już teraz z założonymi rękoma, aż skrzypiący po szynach żuraw nr 1 zakończy obsługę nasadów — „staruszków”. Również Hajduga pomagał młodzieźcom jak tylko mógł. Nieraz w roboczym kombinzonie sam stawał do montażu, pokazywał junakom, jak sobie radzić z metalowymi płytami... Tempo budowy rosło z każdym dniem. Chłopcy „wychodzili ze skóry”, żeby tylko nie dać się starym. W deszczowe rana, kiedy od kanału ciągnęła lepka mgła, w styczniowe, kłujące mrozem dni, a nieraz nawet w wichryście i śnieżyste noce dudniły ich młotki, jarzyły się acetylenowe ognie... Kiedy nie wychodziły plany dzienne, zostawali w kilku po „fajerancie” na pochylni i nocą „machali” robotę, byle rano można było zacząć pracę zgodnie z harmonogramem „na bieżąc”. Na każdą, choćby najmniejszą część roboty, ogłaszano współzawodnictwo. Podejmowano zobowiązania. Nikt prawie nie wybrał mniej niż 200 procent normy.

Monter Frączyk osiągnął w styczniu aż 270 procent. Laskarzewski montował 76 sekcję pokładu dziobowego w 35 godzin, zamiast jak to przewidywano w 91, a spawacz Staszek Sokółowski przy spawaniu znajdującego się na trawlerze zbiornika oliwnego tranu zaoszczędził 15 godzin. Bo trzeba wspomnieć, że w ślad za monterami z „Młodej Gwardii” poszli spawacze z brygady Myśliwca, wielokrotnego przetwórcy, którego fotografia wisi w stoczniowej radzie zakładowej. Za patrona swej brygady obrali Juliana Marchlewskiego. Pigowaty Heniek Warzyński z Otwocka, spawacz kadłubowy, dumny jest z krótkich, lecz notujących niejedną sukcesów dzieł brygady, do której należy.

— Śliżmy krok w krok za „Młoda Gwardią” — mówi okracając szyję kraciastym szalikiem — tak w robocie, jak w pracy organizacyjnej.

„Brygada Starców” spuszczała z tonu. Majster Patok zaś dawno już przestał się podśmiewać pod nosem. Nie zaprzestał jednak odwiezienia na trawlerze. Przychodził dalej, stawał pod wielkim żelaznym żurawem nr 1, przysłał się robotce.

Aż nagle gruchnęła wiadomość tak niespodziewana, że zrazu nikomu w nią wierzyć się nie chciało: — Majster Patok organizuje na swoim terenie „B” nową brygadę młodzieżową.

Franciszek Fenikowski

Był już mrok. Usiedliśmy przed domem. Przyjacieli mój, który przybył właśnie, odśladniał myśl o wierszu stworzonym, od spojrzeń dzieci stało się jasniej...

*

— Pytacie o życie mej poezji — szepnął i patrzył w przestrzeń surowo. Wierzę, nie z pieśni i nie z finezji, z cierpienia mego wyrosło słowo. A przecież i ja miałem babunię, która tworzyła dla mnie historie. Mróz, rwie śnieżyca w białym tabunie. Naprzeciw zdań wybiegam jak orle. Zamki zbrodnicze, a w nich przepaści. Nie dobrzy ludzie, dobre zwierzęta. Ptak, co przez morza chłopca niósł w garści, ja wszystkim żyję i w śnie pamiętam... Powieść się jednak rychło skończyła. Nie pożegnałem nawet piastunki. Z pola wracaliśmy, jeszcze żyła, dotykały jej włosów jaskółki. A potem nagle, gdyśmy usiedli — i ja usnąłem w wieczorną chwilę, ludzie po szczście babcię powiedli za ręce jej, ręce już nieżywe. Oczy w tę noc podnosiłem w męce, ale twarz babci była też niema — i tylko iza, ciężka iza — nic więcej... Trzy dni — i już pokryła ją ziemia.

*

Nie przeżywałem jak sen dzieciństwa. Zjawiska śledziłem, ludzi, siebie od wczesnych lat. Moja droga przyszła marzyła o życiu, nie o niebie. Trudne, smutne dni, bolesne noce, a ile z nich wspomnienia zostało. Kuląc się pod krzakami, dygocę. Jak drzwi otwarte w głodzie me ciału.

A potem nogi opuchły, nogi poranione. Kuleję, za bydlęm nie mogę biec, upadam gdzie stogi. Gorączka już bije śniegu skrzydłem. I jawię się naraz czyste wody. Zabawy z przyjaciółmi na łące. I płacz, płacz. Macam wrzody i lykam jakby chleb łyż gorące.

Gospodarz nie przeniósł mnie do izby. W żłobie leżałem zimny, obdarty. Raz budzę się, a krowy znów przyszły, sprawdzają oddechem, czym nie martwy... Ledwie się podniosłem, uciekłem do matki. Noc, — mroźna noc, ubranie jak drzewo już szeleści, Biegłem przez lód gładki, a gdy dom, padłem pierwszą przysiadką...

*

Zapewne, były chwile radości. Choćby wieczory ciepłe, sierpniowe. Błękitnym światłem tchną odległości. Wiatr w śnie odchyła kochaną głowę... Tych zdarzeń było jednakże mało. Szósty już miesiąc leżałem chory. Puchło w kolanach i w kostkach ciała. Skóra, skóra jak z stoczonej kory. Świadomość przytłum, myśl jak u starca. Po nocach męczę się z nienawiścią — i różnych ludzi winą obarczam, że mi z pomocą nigdy nie przyszło...

*

Dzień teraz przypominę, dzień lipcowy. Omal nie przyszło mi umrzeć wtedy. Matka już tydzień kopała rowy u bogatego chłopca, Bachledy... Południe przeszło, zachód się zbliża, a jej jak nie ma, tak ciągle nie ma. Cień przyniósł izbę już na kształt krzyża. Z głodu zachwiała się w oczach ziemia. I myśl wtępn, myśl, by okruszyn chleba poszukać na ławie, zejść samemu. Ledwie się stanął, zakrzyżył nieba, noc, noc, ciemność w rozwartym spojrzeniu...

Czy chwile, czy godziny leżałem — już nie wiem — byłem jak listek słaby lecz znowu pełzłem po ziemi ciałem i drząc przypadałem do ciemnej ławy. O nocy, nocy cicha, okrutna! Promień księżyca przy mnie szedł mały. Na liściach sliw żyły w świetle włókna. Szumy izby jak sad kołysały. A naraz krzyk serdeczny i pieśń, pieśń!... Na wsi chłopcy ściągają się w mroku, lecz ja nie mogę ku oknu się wzniesić, gdzie tyle woni, ros dla oddechu... Ja jestem chory, będę kaleką. Nie dla mnie praca, życie nie dla mnie. Niech lepiej do grobu mię powleką. Nie będzie bólu, świat się zapadnie.

Zerwałem się, gdyż pragnąłem śmierci. O myśli moje, jak łyż szaskane. Krew sączyła się jak szum spod piersi. Ręka tuliła księżycą pianę. Tak już zasnąłem żalnością zbity. A sen nie czuły był dziś i martwy. Leżałem, cieniem sliwy okryty. To z placu matki mych słów są warstwy...

*

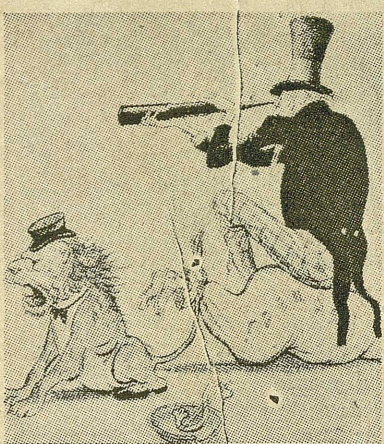
Milczeliśmy, myślą przytłoczeni. Poeta wtem podniósł się i oto stał, patrzył po uśpionej już ziemi. Błyskała gwiazdą wiosenne błoto. — Ta powieść — rzekł — dla dzieci jedynie. Chciałem ukazać im w słowie jasno, w jak innej żyją oni kranie — dziś marzenia ludzkie już nie gasną.

Stanisław Pięta

ALBERT ROLLAND

DRUGA REZERWA BURŻUAZJI ANGIELSKIEJ

PODCZAS wojny był jednym z tych, którzy od 1942 roku domagali się natychmiastowego otwarcia Drugiego Frontu. Mogło się wtedy zdawać, że Związek Radziecki nie ma w Wielkiej Brytanii wierniejszego przyjaciela. Później był autorem głośnego, niezrealizowanego zresztą, programu masowego budownictwa mieszkaniowego, co jest zagadnieniem szczególnie palącym na wyspach brytyjskich gdzie miliony ludzi pracy mieszkają wciąż jeszcze w średnio-wiecznych ruderach, a podczas wojny utracili w wyniku bombardowań wiele takich ruder. Pod sam koniec kadencji rządu labourystowskiego zrezygnował z hałasem z teki ministra i stanął na czele grupy opozycyjnej. Ostrze jego krytyki było skierowane przeciwko polityce zagranicznej rządu Attlee.



Rys. Kulirynsky. 1947.

Nadeszły wybory 1951 roku. Wówczas „pogodził” się z oficjalnym kierownictwem Labour Party, w celu „zagroźenia drogi konserwatystom”. Nie zapobiegło to objęciu władzy przez Churchilla. Partia Pracy rozpoczęła wówczas kampanię przeciwko jego polityce zbrojeń.

W odpowiedzi Churchill ogłosił dokumenty rządu Attlee z których wynika, że labourysty dorównywali staremu wyzyskowi gorliwości w realizacji amerykańskich planów wojennych. Między innymi wynikało z tych dokumentów, że rząd Partii Pracy wyraził gotowość poparcia amerykańskiej agresji przeciwko Chinom Ludowym. Fala oburzenia wywołana tymi rewelacjami posłużyła naszemu opozycjonstwu dla nowej „rewolty” przeciwko oficjalnej polityce Partii. Obecnie stoi na czele dyssydenckiej grupy, atakującej „z lewa” kierownictwo Attlee — Morrisona. Przedmiotem ataków jest jak zwykle polityka zagraniczna. „Buntownik” występuje (w słowach przynajmniej) przeciwko polityce przygotowań wojennych i reklamuje siebie jako najwierniejszego obrońcę sprawy pokoju.

O kimże to piszemy? O Aneurin Bevanie. Pokazaliśmy jedną stronę poczynącej tego polityka, wpływającego członka Labour Party. Z tej strony ogólny wydaje się zajmować lewe skrzydło w Partii, wydaje się skłonny do „rewolty”, wydaje się być sumieniem socjalizatorów, czerpiącym prawdę ze wzburzonych mas partyjnych. Ale... wejrzymy w drugą stronę aktywności Bevana.

W niedawno wydanej książce „In place of fear” („Zamiast strachu”) Bevan „potępia” walkę klas, zajmując wrogie stanowisko wobec ZSRR i gloryfikując Tito. A w swej rozległej i ożywionej działalności nie opowiada się ani słowem za Ruchem Pokoju.

Ta cała niekonsekwencja ma jednak swoją wyraźną logikę. Attlee i Morrison kapitulują wraz z Churchillem przed monopolami USA, Bevan ustawia się na te grupy kapitałowe w Anglii, które szukają dróg samodzielności, którym amerykańska polityka zbrojeniowa odcina rynki zbytu i źródła surowca. W służbie tych grup Bevan spodziewa się zjednoczyć drobnomieszczaństwo i zachować władzę nad dolami Labour Party, wyzyskując w tym celu nastroje antyamerykańskie, spadek płac realnych, zubożenie społeczeństwa i groźbę wojny. „Wszystko to są następstwa całkowitej utraty samodzielności polityki brytyjskiej, pełnego uzależnienia W. Brytanii od USA. Dokonał tego w okresie powojennym Attlee i Morrison, na nich więc spada odium, zagrażając rozłaniem, odpadnięciem dółów labourystowskich, a tym samym wygnięciem się ich spod wpływu burżuazji. Tego burżuazja obawia się najbardziej i coraz większe jej oddziały popierały zacytowaną obecnie Bevana w akcji ratowania narzędzia ich władzy nad klasą robotniczą, jakie stanowi dziś Labour Party.

Wielka Brytania jest jak wiadomo głównym satelitą Stanów, ich „młodszym partnerem”. Bez Wielkiej Brytanii wykonanie agresywnych planów amerykańskich organizatorów wojny jest praktycznie niemożliwe. Od tego czy Wielka Brytania okaże się pewnym oparciem dla wojennej polityki Waszyngtonu, czy też nie, zależy bardzo wiele. W związku z powyższym warto zapoznać się choćby pokrótce z cyklem artykułów Bevana, ogłoszonych niedawno we

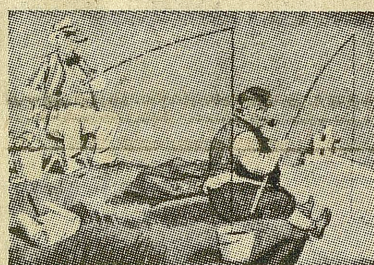
francuskiej burżuazyjnej gazecie „Le Monde”.

Bevan rozpoczyna od zdecydowanego ataku na politykę USA. Z ubolewaniem wskazuje na jej tępotę, podkreśla, że nie może być ona „atrakcją dla Europejczyków”, mających ostatecznie inne tradycje polityczne niż wybory organizowane przy pomocy gangsterów lub w stylu „tyle głosów ile dolarów”. „Dominująca pozycja Stanów Zjednoczonych w świecie byłaby łatwiejsza do strawienia, gdyby wiedzieliśmy, że to nie wskazuje, prócz tego oczywiście, że USA są wrogami komunizmu” — pisze Bevan.

Za tym oświadczeniem kryją się dwie rzeczy. Pierwsza to ubolewanie Bevana, że koła rządzące Stanów nie potrafią ubrać swej brutalnej ekspansji imperialistycznej w jakąś strawną szatę ideologiczną. Drugie to stwierdzenie, że antykomunizm nie jest atrakcją w Europie, gdzie istnieją potężne partie komunistyczne, gdzie masy ludowe miały okazję poznać bohaterstwo komunistów w walce z hitleryzmem i dlatego darzą ich szacunkiem i sympatią. **Antykomunizm przestał być artykułem pokupnym w Europie powojennej.**

Bevan usiłuje zrzucić na Churchilla odpowiedzialność za całkowite podporządkowanie Wielkiej Brytanii Stanom. Potocznie nazywa się to „próbą przerzucenia zdechłego psa na czyjeś podwórko”. Tym „zdechłym psem” w dzisiejszej Wielkiej Brytanii jest widocznie i polityka amerykańskich podżegaczy wojennych. Przerzucenie rozmachem ruchu pokoju imperialistów usiłując lansować tezę, że zbroją się zrekompensować celach obronnych ze strachu przed „agresją Sowietów”. Czy propaganda ta nie zdezorientowała niektórych prostych ludzi w Anglii? Czy nie wpadli w jej sidła?

Odpowiedź na to pytanie daje Bevan. Ironizując na temat „polityki mocy”, głoszonej przez Achesona stwierdza, że ta polityka nie uda się zastraszyć Związku Radzieckiego i że „rzuci się w oczy, że jest on (Związek Radziecki — AR) mniej wojowniczy od pewnych dziennikarzy amerykańskich”. Za plecami owych „dziennikarzy” widać wyraźnie monopol USA oraz znajdujący się na ich usługach



Rys. I. Ganf. 1949.

z rząd Stanów Zjednoczonych. A to samo zaplecze zarysowuje się, gdy Bevan, szukając sprawców polityki zbrojeń wskazuje amerykańskich ekspertów wojskowych, którzy „nie potrafili przewidzieć konsekwencji ekonomicznych swoich zadań (chodzi o wydatki zbrojeniowe — AR). Jest rzeczą niebezpieczną dla każdego rządu przyznać dowódcom wojskowym prawo prowadzenia propagandy politycznej”. Jest to z jednej strony nieudolna próba Bevana zamoczenia obrazu Stanów Zjednoczonych kosztem „złych, niedyscyplinowanych i słabych w ekonomii” wojskowych. Z drugiej zaś — jaskrawe świadectwo, jak niepopularna staje się polityka zbrojeń, narzucona przez USA brytyjskiemu satelitem.

Zresztą sam Bevan przyznaje, że agresywna polityka imperializmu amerykańskiego ma głębsze przyczyny i wynika z samej jego istoty. „W takiej atmosferze nie dziwnego, że nacisk koł gospodarczych i finansowych wzmacnia napięcie sytuacji międzynarodowej, bowiem tyle kapitałów jest związanych z maszyną wojenną, że strach przed powszechną deflacją (w ten sposób Bevan z prawdziwie angielską „subtelnością” nazywa kryzys — AR), bankructwami i bezrobociem, wciągnie nas albo do działań wojennych albo produkcji zbrojeń na taką skalę, że pociągnie za sobą naszą zupełną ruinę. Północno-amerykański system gospodarczy jeszcze nie osiągnął poziomu, przy którym potrafiłby wchłonąć nadwyżki swej własnej produkcji”. Przetłumaczone na zwykły język subtelne wywody Bevana oznaczają, że imperializm amerykański dusi się we własnych sprzecznościach, że źródłem tych sprzeczności jest kapitalizm i że wyjście z nich widzą imperialiści amerykańscy w wojnie.

Polityka zbrojeń, do której Stany Zjednoczone wciągnęły swych satelitów doprowadza tych ostatnich w jeszcze szybszym tempie do ruiny niż same Stany Zjednoczone. Szczególnie ciężko skutki tej polityki odczuwa Wielka Brytania. Odczuwa ją nie tylko angielska klasa robotnicza ale też niektóre grupy kapitałowych brytyjskich. W ich imieniu przemawia Bevan, gdy stwierdza: „Być może, zasoby gospodarcze Stanów Zjednoczonych pozwalają im dźwignąć ciężar zbrojeń bez specjalnych wstrząsów (ironia Bevana, który przecież podkreśla, że taka polityka musi doprowadzić USA do katastrofy — AR). Ale w żadnym wypadku

nie stosuje się to do ich sprzymierzeńców”.

Ze szczególnie ostrą krytyką spotyka się ze strony Bevana amerykańska polityka na Dalekim Wschodzie. Należy pamiętać, że obrót gospodarczy z Chinami i całym w ogóle Wschodem azjatyckim jest głównym filarem potęgi kapitalizmu brytyjskiego. Mówiąc o Chinach jako „naturalnym partnerze handlowym Zachodu”, Bevan stwierdza zarazem, że zagadnienia walki narodowo-wyzwoleńczej nie da się rozwiązać przy pomocy siły zbrojnej: „Względnie masy Azji pragną pomocy materialnej, my posyłamy im armaty”. Przyznając, że narody Azji nie chcą już żyć po dawnemu, że nie uda się cofnąć koła historii w Chinach — Bevan dochodzi do wniosku: „Z tego punktu widzenia odmowa przyjęcia Nowych Chin do ONZ i uparte uznawanie reżimu Ciang Kai-szeka świadczy o braku realizmu”. Jasne, że burżuazja angielską irytuje „brak realizmu” USA, który uniemożliwia jej korzystne stosunki gospodarcze z Chinami. Pod tym kątem należy rozumieć oświadczenie Bevana, że „podpisanie traktatu pokojowego z Japonią bez udziału rzeczywistego rządu Chin to akt dyplomatyczny, świadczący o trudnej do uwierzenia niezręczności”. Natomiast aż nazbyt realistyczny jest atak USA na politykę gospodarczą Wielkiej Brytanii w Indiach. Bevan przemilcza to dyskretnie. Woli nie ujawniać sprzeczności.

Ale sprzeczności anglo-amerykańskie nie ograniczają się jak wiadomo do Dalekiego Wschodu. Poważne rozdziewiki istnieją między obydwojma imperializmami w sprawie niemieckiej. Stany Zjednoczone pragną z Niemiec Zachodnich zrobić swoje główne satelity w Europie. Liczne koła przemysłowe Wielkiej Brytanii boją się konkurencji opartego przez monopol amerykański przemysłu niemieckiego. Już zresztą obecnie wyroby niemieckie wypierają z wielu rynków wyroby brytyjskie. Dlatego też niektóre koła brytyjskiej burżuazji niechętnie widziałyby Trizone, jako pełnoprawnego (a praktycznie **przodującego**) partnera tzw. „wspólnoty atlantyckiej”, na co nalegała i co forsują many przeciwnicy swych satelitów Stany Zjednoczone. Temu również Bevan daje wyraz starając się przy okazji stroić w piórka obrońcy pokoju: „Musimy dążyć do uniknięcia nowych przyczyn napięcia sytuacji Niemiec Zachodnich”.

✱

Oczywiście nie należy brać wszystkich oświadczeń Bevana dosłownie — ma za sobą długie doświadczenie własne i swojej partii w operowaniu demagogicznymi hasłami, pod którymi kryje się treść całkowicie odmienna. Nie na darmo Bevana nazywają przecież 2-gą rezerwą burżuazji brytyjskiej (pierwszą to dzisiejsze kierownictwo Labour Party). Ale dlatego właśnie jego wypowiedzi na zewnątrz są tym bardziej symptomatyczne dla nastrojów nartujących nie tylko angielskie masy ludowe ale też i poważne koła burżuazji brytyjskiej.

Bevan nie jest w zasadzie wrogiem paktu atlantyckiego, a nawet zbrojeniom przeciwstawia się nie ze względów zasadniczych, ale taktycznych. Doprowadziłyby do ruiny drobną burżuazję, a ferment w masach robotniczych — do rewolucyjnego wrzenia. Minęły zaś czasy, gdy wrzenie i nędza mas rozładowywała burżuazja angielska wysyłając „burzący się gmin” za ocean.



Rys. B. Jefimow. 1949.

przemieniając buntowników w kolonizatorów i strażników imperium. Nie ma już terenów na „eksport ludzi”. Dziś ferment i wrzenie grożą samemu istnieniu kapitalizmu brytyjskiego. Bevan ma temu zapobiec. Jego zadanie polega na utrzymaniu buntujących się dółów w ramach organizacji labourystowskiej bez zmian istotnych w programie i polityce Labour Party, przy zachowaniu jej charakteru narzędzia władzy kapitalistów nad klasą robotniczą. Bevan ma zapobiec przekształcaniu się nastrojów antyamerykańskich w klasową, rewolucyjną świadomość, ma ułatwić burżuazji angielskiej rozgrywkę z Waszyngtonem o utracenie pozycji zamorskiej.

Bevan nie jest dla burżuazji kłopotliwy. Jest korzystny. Kłopotliwy jest tylko dla Attlee i Morrisona, których pozycji coraz bardziej zagraża. Natomiast dla Wielkiej Brytanii i jej klasy robotniczej może się stać dość groźnie niebezpieczny, gdyby rosnąć we wpływy usypiał czujność klasową i opóźniał wyrugowanie agentów kapitalizmu z kierownictwa partii, podzywiającej się pod reprezentację interesów świata pracy.

Albert Rolland

TE—GI—CZEN

K O R E A Ń S K A M A T K A

Białe szaty przyodziewa matka
I na wzgórzu za wsią śpieszy.
Po zielonym zboczach,
Żółtą wstęgą drogi,
Idzie człowiek.
Trzeci syn jej — ochotnik —
Do Ludowej Armii odchodzi.

A przed rokiem
Pierwszy poszedł,
Przed miesiącem
Ruszył drugi,
Teraz trzeci w ślady braci
Idzie zboczem wśród zieleni.
Matka stoi,
Matka patrzy...
Czyżby serce jej z kamienia?

Któż wie: kiedy srebrny szron
Osiał na jej czarnych włosach?
Życie matki — wszystkie lata —
Były niby ciemne noce,
Było niby gęsty mrok.

Ryż na polu zaszeleścił
Kołysany lekkim wiatrem,
Ciepły podmuch pieści twarz
Posiwił matki.

JULIAN STAWIŃSKI

Gdy prawda grozi zagładą

WIECZNE pióra wciąż jeszcze były nowością, pierwsze — samochody nadal budziły sensację, gdy car Mikołaj zwoływał do Hagu

międzynarodową konferencję Pokoju, a Paryż przygotowywał się do rozpoczęcia stulecia przegladem cywilizacji kapitalistycznej na Wystawie Światowej. Świat wydawał się młody. Ale kapitalizm dawno już utracił młodość. Nadciągali wieki gniewu, rozkładu i klęski. Ludzkość wkraczała w epokę rewolucji proletariatu, niosących Ziemi nowy ustrój i kształt. Na polu kultury kapitalizm mobilizował dla obrony ciemnotę, terror i fałsz.

Prof. James Burgess publikował swe tezy o „wyszości Norydków”, Josiah Strong głosił z katedry „rozszerzony obowiązek narodowy”, ławica małych literackich kiplinów płynęła śladami wielkiego Rudyarda. Dyrygentem koncertu sztuki stała się „wielka palka” Teodora Roosevelta, a kijem tym zaganianiu opornych do zdławienia „brzmienia Białego Człowieka” z Białego Domu, poszukującego terenów ekspansji dla firmy **Morgan Partners** oraz jej monopolistycznych pobratymców. „Was fuer Plunder!” — wołał gen. Bluecher podziwiający widok Londynu z kopuły św. Pawła. Zachwycone tą gotowością ataku na konkurencyjny imperializm brytyjski, nowojorskie Stowarzyszenie Pokoju i Instytut Carnegie wybiły wspaniały medal dedykowany „Defensori Pacis” — Wilhelmowi II. Było to w roku 1913, w przedmowie pierwszej rzezi światowej.

„Im bardziej — mówił Marks — pogłębia się sprzeczność między rosnącymi siłami produkcji a istniejącym ustrojem społecznym, tym większa hipokryzja przepaja ideologię klasy rządzącej. Ponadto, im wyraziściej życie ujawnia kłamliwy charakter tej ideologii, tym język jakim posługuje się klasa panująca staje się wznioślejszy i cnotliwszy”.

Każde przemówienie, wygłoszone publicznie w USA, jest tego dobitną ilustracją. Wilson przed 35 laty nawoływał do „wojny dla skończenia z wojną” a Bernard Baruch poucza dziś, że „należy przestać mówić o zimnej wojnie i zacząć wzywać do zdobycia pokoju”. Carnegie popołu z kajzerem zdobywali pokój na równinach Flandrii, Baruch popołu z Trumanem czyni to na polach Korei. Przy pomocy czołgów, samolotów i wszy zdobywają „pokój” narodów azjatyckich, przy pomocy ustaw wyjątkowych — „pokój” i lojalność własnego narodu.

Darwinowska walka o byt i wzajemne pożeranie się rywali tworzą credo kapitalizmu w życiu publicznym i prywatnym. W ostrym świetle prawdziwej sztuki ukazuje się cała nieludzkość i ohyda tego mechanizmu, wylaniają się posępne zarysy dreiserowskiej Tragedii Amerykańskiej.

✱

Narzędzia i środki upowszechniania kultury i jej owoców nie leżą więc w ręku współtwórców kultury — uczonych, pisarzy, wychowawców. Nie oni orzekają, czy książka jest dobra, a film na poziomie, nie oni ustalają kryteria wartości, nie oni oddzielają ziarno od plew i szkodzić chwastów. Czynią to przedsiębiorcy „robiący” w kulturze, jak inni „robią” w perkalkach, węglu, czy zbrojeniach. I swoją miarę piękna przykładają do wypuszczanych przez siebie na rynek „towarów”. A także swoją miarę zysku. A miara ta jest zglizgalszowana jednolicie, jak cała mentalność „górných” dziesięciu tysięcy.

Dzień sierpniowy,
Dzień wolności
Życia jej osłodził trud,
Łosy synów jej odmienił.
Poszła matka tam gdzie grób,
Poszła na mogiłę męża,
Zapłakała — przecież on
Za tę sprawę zmarł w więzieniu,
Nie doczekał tego dnia,
W którym lud zwyciężył...

Ledwie ranne słońce wstanie
I rozproszy nocy cienie,
Matka śpieszy na pagórek,
Tam gdzie żółta biegnie droga —
Długa jak westchnienie.

Ale oczy matki suche,
Łzy w nich nie zobaczysz —
Póki wojna się nie skończy,
Matka nie zapłaczę.

Matko ziemi koreańskiej,
Czemu suche oczy masz
I bez płaczu żegnasz synów?
Płoną miasta, płoną wsie
Odblask ognia pada w twarz...

Ty nie pytaj,
Ty nie pytaj,
Czemu z oczu łzy nie spłyną.
Ty nie pytaj,
Ty nie pytaj,
Bo gniew serca matki trawi,
Bo jej sercem targa ból,
Bo w jej sercu jest nienawiść,

A gdy wojna skończy się,
Gdy do domów wróci młodzież,
Na pagórek wstąpi matka —
Biała będzie na niej odzież,
Mokre będą oczy jej,
Łzy zmarszczkami z twarzy
spłyną...

Matka będzie czekać synów.

A gdy na zielone zbocze
Drogi, sercem wykreślonej,
Trzej synowie ukochani
Zwycięzcy wrogów wkroczą,
Gdy zwycięska zabrzmi pieśń,
Łzy omyją matki oczy
I nie skryje matka łez.

Tłum. Marian Bielicki

(Przekład na podstawie tłumaczenia filologicznego)

Ale na tym nie koniec. Górnych dziesięć tysięcy, mimo celową grubość naskórka wyçuwa trafnie i wie znakomicie, co za spustoszenie powstaje w umysłach społeczeństwa wziętego we dwa ognie — deprawacji i ogłupienia. Jaki skutek wywieści bezustanne bombardowanie zmiłą — w książce, gazecie, z ekranu, przez radio. Obręcz nędzy, niedożywienia, ciemnoty skłania wolę Murzynów i znacznych odłamów innych „niższych” ras — Meksykanów, Włochów, Polaków... A gdzie też śrubę dalej zaciskać byłoby niebezpiecznie — wolę osłabia i umysł zaciemnia potężne działanie głupoty i brudu. Dla utrwalenia i ciągłości działania powstają cykle, serie, odcinki, całe mechanizmy powtarzanych ze sobą, zalegających się filmów, audycji, reportażów, omówień, całe piramidy wydawniczo-sceniczne, z ilustracją, muzyczną, kreskową, obrazkową, barwną, wieloplanową, wieloznaczeniową — i bardzo jednoznaczna.

Materiał podstawy kultury amerykańskiej są bez reszty przedmiotem niczym nieograniczonej i niekontrolowanej własności Morganów, Mellonów, Rockefellerów, Fordów, Du Pontów. Oni więc, sami, lub przez swych zaufanych, decydują o obliczu kulturalnym kraju. Niedyś — farmer, sklepikarz, właściciel fabryczki płacąc podatki za leżał od siebie i leższej władzy państwa. Dziś także płaci podatki choć znacznie wyższe, ale zależy całkowicie od wielkich central finansowych, wielkich trustów, które jednym pociągnięciem pióra mogą skazać na śmierć cywilną — a nie raz i fizyczną — każdego obywatela; państwo uczyniło one giętym narzędziem władzy górnego tysiąca, czy dziesięciu tysięcy.

Jaki jest zasięg tego procesu, który niewątpliwie jest procesem ostatecznego rozkładu społeczeństwa burżuazyjnego. Oczywiście najbardziej mu uległy te warstwy, które najbardziej są wystawione na atak i działanie produktów gnijnych, które pod marką kultury i w barwnym opakowaniu rozpowszechnia mechaniczny producent: cała wielka i drobna burżuazja — z wyjątkiem tych kół inteligencji, których organizm zdołał oprzeć się zakażeniu i wytworzyć odrutkę — część farmerów tworzących masowego odbiorcę, wreszcie arystokracja robotnicza, którą kapitalizm dzięki hasłom reformistycznym zdołał przeciagnąć na swoją stronę.

Natomiast szerokie koła klasy robotniczej, proletariatu rolny i niezamożni farmerzy wykazują najmniej chłonność i podatność. Toteż przeciwko nim, a zwłaszcza przeciw ich dzieciom kieruje się główny napór groźowych wydawnictw, filmu i radi. Trudno przecenić doniosłość tej bitwy. Jej wyniki mogą znacznie przyspieszyć, lub powolnie opóźnić rozwój świadomości społecznej. Dzieci w USA dojrzewają wcześniej, wcześniej też wyrabiają w sobie mocne poczucie rzeczywistości i duży zmysł krytyczny połączony z pewną przymieszką cynizmu. Cechy te będą dla nich zapewne pancerzem ochronnym w tej walce.

✱

W lutym 1952, na uniwersytecie w Chicago przeprowadzono znaną ankietę: studentom kazano się wypowiedzieć o propozycjach kontroli energii atomowej, nie mówiąc im jednak, które wnioski objęte są planem radzieckim, które zaś amerykańskim. Wyniki były rewelacyjne. 6 proc. studentów skrytykowało wszystkie propozycje, 24 proc. uchyliło się od wyboru, 6,3

proc. zaaprobowowało plan USA, przy czym odgady autorstwo, 63,7 proc. wypowiedziało się za planem radzieckim. Zwraca uwagę, że tylko 10 proc. zidentyfikowało propozycje amerykańskie i że wśród zwolenników propozycji radzieckich większość była przekonana, iż ze względu na swe zalety musiały być wnioski USA. Wyniki tej ankiety wywołały poważne reperkusje zagranicą: w Stanach Zjednoczonych ogłoszono że tylko małe piśmisko Chicago Maroon, bo publiczne ich omawianie było wcale nie na rękę dla czynników rządzących. Wyniki te świadczą, że polityka USA opiera się na niepewnym, grząskim i obosiecznym fundamencie fałszu i niewiedzy. Ankieta utwierdziła Trumanów i Macfaddenów w przekonaniu, że prawda byłaby dla nich zabójczą. Rozpatrując rzecz z tego punktu widzenia przynależało im, że monopolowi miały swoistą rację, kiedy reklamami Sądu Najwyższego zlamaly konstytucję i odrzucając wolność prasy, zgromadzeń i słowa, skazały 11 przawodców komunistycznych za propagowanie pokoju i zwalczanie faszyzmu. Sąd Najwyższy w sposób nader wykrętny uzasadniał w motywach swego orzeczenia istnienie „niebezpieczeństwa rzeczywistego i bezpośredniego” imputując Partii Komunistycznej agitowanie za obaleniem rządu przemocy. Komuniści takiej agitacji nie uprawiają, wystarczy jednak, że mówią prawdę, wystarczy, by prawda ta doszła do wiadomości ogółu, aby rząd, ustrój i monopol znalazły się w rzeczywistym niebezpieczeństwie.

Nie mają wyjścia. Muszą kłamać i ogłupiać społeczeństwo — dopóki społeczeństwo im na to pozwala. Poczucie rzeczywistości mówi im bez obłonek, że od tego zależy ich byt.

✱

„Wiedza będzie ciśnięta w błoto, zdeptana raciami bydlęcej tłuszczy” — grzmiał Burke z nienawistnym spojrzem wbitym w rewolucyjny lud. Nie przewidywał zapewne, że półtora wieku później w Camp Detrick, stanu Maryland, 4000 „uczonych” pod wodzą gen. Waitta i „doradcę bakteriologicznego” George W. Mercka mogliście być nad znalezieniem sposobów skutecznego zasnucia kuli ziemskiej czarnym całunem zarazy. Ze drugie tyle, pod wodzą gen. Grovesa i doradcy atomowego Vannevara Busha będzie wysłać swe mózgi — których sprawność jest dziełem wielu ludzkich pokoleń — nad znalezieniem metody wysadzenia w powietrze zakażonej przez ich kolegów ludzkości.

Aimé Césaire, w głośnie „Rozprawy o kolonializmie” pisał:

„Czegoż to dokonała burżuazja? Podkopała cywilizację, zburzyła ojczyznę, zniszczyła narody, wydławiła z korzeniami „wielorakość istnienia”. Padają falochrony, kruszą się zapory. Wybiła godzina barbarzyńcy. Godzina amerykańska: gwałt, przemoc, marnotrawstwo, sprzedajność, kłamstwo, rozkład stado — Głupota, Prostactwo, Nierząd...”

Uczni francuscy wytosowali niedawno, pełen grozy i przerażenia zdeprawowaniem nauki list otwarty do uczonych amerykańskich, fizyków, lekarzy, bakteriologów. Nie odpowiadał im ani jeden głos. Zgnilizna sumień i mózgów poraziła im mowę. Zgnilizna — twór, służący i najwierniejszy sojusznik imperializmu.

Julian Stawiński

JERZY K. MACIEJEWSKI

EMIL RASZKA WZYWA WIŚLAN

U rlop w tym roku spędziłem w Wiśle. Maj nie był tu pogodnym miesiącem. Toteż na wędrowną pociągła mnie nie tyle żółta turystyczna ile stara, spokojna nie dająca żółta dziennikarska. Dla tutejszych chłopów Wisła to pięć dolin i pięć osad, to 11 km od krańca do krańca i 111 km² obszaru.

Ze szczególnym wzruszeniem — muszę to wyznać — szedłem nad rzekę, którą kilka dni wcześniej zagnałem ze śląskiego mostu w Warszawie. Tutaj była płytka i wąska, że byle pies przepływał się przez nią bez większego trudu. Właśnie przepływały się krowy. I nic w tym obrazku nie było nadzwyczajnego. A przecież stałem prawie u źródła Wisły, u źródła rzeki, której nazwę kiedy wymawiamy, to jakbyśmy mówili: ojczyzna. Obejrzałem się za krowami, opodał motykowały dwie kobiety.

— Coż tu w Was nowego? — zagadnąłem.

Wyprostowała się starsza — nowego? Syn pojechał nad Odrę i już listy pisze, to mamy nowość.

Wyjechał... listy pisze... Poczułem, że koniec z moim urlopem. Nie ma już wczasowicza i grzejącego stare kości łazgeli. Jest znów dziennikarz, właśnie u źródła Wisły, dokąd nadchodzi lista znowu Odrę. Czy pozwolił im tak cicho i domowo kursorować? Na honor dziennikarski — nie pozwolę.

Puściłem w ruch sztukę dyplomacji. Co kopia? Grządkę pod kapustę. A dużo ziemi? Niecały hektar; „starka” ma jeszcze „wymowe”, czyli dożywocie. Nazywa się Ewa Kubala. Wychowała pięćdziesiąt dzieci, trzech synów i dwie córki. A ten co wyjechał? Karol, a ta, co jej pomaga przy kapuście? — Joanna, zameżna, Joanna Czyż. A listy? — Pocięły z nich nie będziecie mieli, bo syn do pisania niełatwy, gryzmoł tam, co ino dla rodziny ciekawo. A listy kto ma? — Joanna. Do chałupy było niedaleko.

W samej rzeczy arkusiki papieru pogryzione olówkami i zatłuszczone. Ale jest w nich również coś dla świata. Karol Kubala wypytuje w listach o niedawny zatarg z sąsiadem — kowalem. Jeszcze tkwi częścią duszy w dolinie nad Wisłą, ale drugą częścią duszy już żyje nowym.

„Na razie pracuję w lesie. Leśniczy jest morowity chłop. Ral mnie z tutejszymi dziewczynami, ale choć niegdyś sobie dziewczynki, boję się czy nie wietrznie. Z taką człowiek nigdy nie byłby pewien. Ja, jeżeli bym się już miał żenić, to z wiślaną. Te są najlepsze. Dlatego też myślę, przyjechać po „żniwach” do Was, to się rozejrzeć...”

A w drugim liście datowanym 18 maja.

„Ziemniaki już zasadzone, jeszcze mam tużin zasiać na zielony gnój, bo z żytem w części nie wyszło. Przyjechalibyśmy za późno i w Gminnej Spółdzielni nasiona selekcyjne na zasiew były już w większości

rozsprzedane, a swoich nie mieliśmy. Na jesieni urządzimy się lepiej.”

— Jak to się stało, że wasz brat zdecydował się na wyjazd?

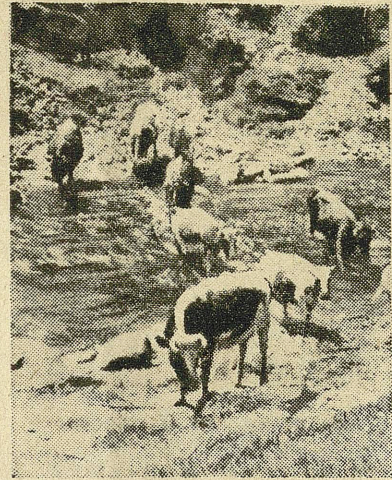


Foto J. K. Maciejewski

— A bo on pojechał z całą paczką. Organizował ich Emil Raszka.

— A skąd Raszka pochodzi?

— Tutejszy. Matka jego mieszka w Głębach, na groni.

Emil Raszka — nieślubne dziecko wyrobni. Po wyzwoleniu pracował w lesie. Wstąpił do Partii. Jakich czas był kierownikiem miejscowego SOM, aż do jego zlikwidowania. Stracił przejściowo pracę, a w dodatku borykał się z wielkimi trudnościami mieszkaniowymi (w Wiśle nie ma gospodarki mieszkaniowej), więc kiedy wychodził w prasie o nowym wezwaniu na Ziemię Zachodnią zmówił się: Emil Raszka z żoną i dzieckiem, Jan Martyniek, robotnik, siostra żony Emila, a narzeczona Martynika i Kubala, że tam, „daleko od Wisłki” spróbują budować nowe życie.

Matka Emila Raszki, Zuzanna, mieszka w Głębach-Wiśle „na groni”, w cudzym i pustym wiejskim domu, jako jego dozorczy. Za dozorę ma prawo mieszkania i użytkowania skrawka ogrodu, liczącego wraz z zabudowaniami 10 arów. Dzierżawi nadto mały skrawek ziemi, gdzie sadi ziemniaki. Zeszły rok był tu urodzajny, więc zebrała 6 czy 7 worków kartofli. Poza tym dorabia gdzie może. Jest wyrobnicą na posługach. Ma za sobą burzliwe życie: była na robotach w Niemczech, w Czechosłowacji. Za każdym razem przywoziła z sobą dziecko. Teraz opiekuje się swym wnukiem, 6-letnim Józefem Szturcem, synem córki Zuzanny, która wyszła za robotnika leśnego.

Raszka, gdy wszedłem, słuchała — razem z wnukiem płynącym z zawieszonym na ścianie głośnika audycji dla małych dzieci o koziołkach i żabkach. Przerwałem im, „tyjater”, ale że w sprawie syna Emila „starka” z przyjemnością zabierała się do opowiadania. Władze gminne dały wyjeżdżającym osad-

nikom wszelką pomoc, poczynawszy od załatwienia i przewiezienia urzędnika domowego na stację kolejową w Wiśle, aż do zagospodarowania się na nowym miejscu.

O dalszych losach Emila wie z listu, jaki do niej pisał, jak i — znacznie obszerniej, choć niemal w jednobrzmiących słowach — do Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Wiśle.

— A czemu nie pojechaliscie z synem?

— Pojechałabym — zaczęła, unikając mego wzroku — gdyby zabrali się wszyscy... — ręka jej zatoczyła nieokreślony łuk.

— To znaczy?

— Ano, jakby inne dzieci... — wyjaśniała wykrętnie, zdając sobie sprawę, że trudno byłoby zwerbować np. Pawła, pracującego w fabryce w Ustroniu, albo trzeciego syna, przebywającego w Czechosłowacji.

— A kiedy pojedziecie?

— Pewnikiem po żniwach. Po żniwach to musowo, bo Emil apel ogłosił. Wiecej jesienią z drugą pielgrzymką honorowo pojedzie.

Emil pisał:

„Skreśliam Wam parę słów z nowego miejsca, jako pierwszy osadnik w województwie zielonogórskim z Wisły. Przyjechalibyśmy do Krosna Odrzańskiego w środę dnia 30 kwietnia br. o godz. 7, a na miejsce, do domu, samochodem ciężarowym o godz. 11. Jest nam tu dobrze, chociaż to początek, najgorsze już minęło. Trwało zaledwie jeden tydzień, teraz idzie już ku lepszym, bo teraz, chociaż nas jest sporo do jedzenia, gdyż jesteśmy wszyscy ra-



Foto J. K. Maciejewski

zem (5 osób dorosłych), — lepiej jemy, jak w Wiśle.”

Kubala i Martyniek pracują jako robotnicy leśni, a ja jako „gąda” na razie objam się jeszcze w polu i koło domu, ale w niedługim czasie i ja pójdę co przyrobić do lasu w wolnych chwilach.

Pracy tu jest dość. Chcę mnie wybrać sołtysiem. Nie chcę tego wyjąć, bom jeszcze nieobeznany z te-

renem, ale prawdopodobnie przyjmę. Ludzie są nieźli, choć zjechali się ze wszystkich stron Polski. Każdy rozumie, że nowy osiedlenie, to mu trzeba pomóc.

Dostałem pożyczkę na zakup świni i na odbudowę gospodarki. Jak sobie odbuduję tak do porządku i zagospodaruję się, to tych niedowiarów z Wisły zaproszę do siebie i pokażę im, jak się żyje na Ziemiach Zachodnich.

A teraz proszę o ogłoszenie przez radiowęzeł poniższego pisma rodzinnemu wiślańskiemu, mogącym wyjechać na Ziemię Zachodnią, ażeby przyjechali, żeby nas było więcej. Ja, Emil Raszka, pierwszy osadnik w woj. zielonogórskim, apeluję do swoich sąsiadów i znajomych:

Przyjeżdżajcie! Czekają na was ładne domki i gospodarstwa z dobrą ziemią. W naszych sąsiednich powiatkach, jak nimał w każdej gromadzie i gminie, czy województwie, są jeszcze gospodarstwa do objęcia od niecałego 1 ha do 13—15 ha. Ziemia czeka na gospodarzy, którzy by ją uprawiali.

Nie wierzcie plotkarzom, którzy opowiadają niestworzone rzeczy o osiedleniu. Po co Wam prosić o cudze, do tego liście mieszkanie i odraabiać za nie, kiedy tu możecie mieć ładne swoje mieszkanie i gospodarstwo.

Przyjeżdżajcie. Nie będziecie żałować. Otrzymacie wszystko, co przewiduje uchwała Prezydium Rządu w sprawie akcji osiedleńczej na Ziemiach Zachodnich.

Pozdrawiam Was wszystkich!

Emil Raszka
gr. Brzeźnica nr 27, Dąbie
Lużyskie, pow. Krosno
Odrzańskie.

Raszka wzięła ode mnie list i złożyła go pieczołowicie.

— List pokazuje sąsiadom?

— Był podany i przez radiowęzeł i sąsiadom do czytania dała, ale, na to trzeba czasu do zastanowienia. To nie to, co jechać do Wisły, czy chociażby Cieszyńska. I nie każdy pojedzie. Ten bogacz z doliny, co to wilił sobie koło szosy nastawiał, z pewnością nie pojedzie...

Przypomniałem sobie tego bogacza w dolinie Czarnej. Na polu, rozpostartym na zboczu góry kilkanaście kobiet ustawionych w gęstą tyralierę, motykowało szawicze ziemniaki. Z prawego skrawka flankował je ów kulak Samiec, z lewego — jego żona. Nadawali tempo pracy. Na pytanie, komu to okopują ziemniaki, po chwilowym milczeniu jedna z kobiet odparła, że przyszły tu „na pobabę”, czyli — dodała wyjaśniająco — jest to pomoc sąsiadka. Aha, chciałabym sobie wyobrazić starszą Raszka, albo Kubalową, albo Czyżową, których nie przekraczały kilkudziesięciu arów z taką falangą sąsiadek w „pomocy sąsiedzkiej”.

Jerzy K. Maciejewski

IRENA MATYSIAK

„ŻYCIE ZA DNIÓWKĘ”

W OKRESIE dwudziestolecia „...z pracowni żadnego z instytutów „badań społecznych” nie wyszło „Młode pokolenie robotników”. Istniały bowiem podstawowe różnice między stopniem rewolucyjnej świadomości mas robotniczych a chłopskich. Pamiętnik robotniczy osnuje się z reguły niemal wokół osi konstrukcyjnej, jaką stanowi droga tych doświadczeń zawodowych i politycznych proletariusza, które pogłębiają jego świadomość klasową. Życiorys robotnika obrazuje dorastanie proletariusza do pozycji świadomego rewolucjonisty”. Czytając uzyskane drogą konkursu Polskiego Radia oraz PIW-u „Wspomnienia robotników” zdajemy sobie sprawę, że nawet najbardziej liberalna cenzura burżuazyjna nie przepuszczyłaby pamiętników tego typu, tak bardzo jednoznaczna i oskarżająca jest ich społeczna wymowa. Mimo ogromnego zróżnicowania indywidualnych losów autorów poszczególnych „Wspomnień” śledzimy na kartach pamiętników ich „wspólną” drogę, drogę całej klasy wiodącą od nędzy i beznadziejności do organizacji robotniczych, do zrozumienia tej podstawowej prawdy, sformułowanej pięknie przez Marksa, że „proletariusz nie ma nic do stracenia prócz swych kajdan, a do zdobycia całego świata”, do świadomej, ciężkiej i uporczywej walki o zdobycie sobie praw do ludzkiego życia. Ten proces polityczny „dojrzwienia” klasy robotniczej do walki z kapitalizmem wraz z samą walką nie znalazł na terenie naszej literatury dotyczącej 20-stolecia, ani tym bardziej powstał w 20-stoletniu należącego do obcięcia. Jedyną książką, która do tego problemu rzeczywiście dotarła, która pokazała go prawdziwie, jest „Stare i nowe” Rudnickiego.

„Matka i syn” Bobruka oraz „Życie za dniówkę” Felisa — odznaczające I i II-gą nagrodą pamiętniki z serii „Wspomnienia robotników”, to książki, które podobnie jak „Stare i nowe” poszerzają spojrzenie na historię ruchu robotniczego i jego walki o całą niezmiernie bogatą sumę doświadczeń ich bohaterów, ludzi, którzy poprzez lata ciężkiego dzieciństwa, poprzez głód, bezrobocie i więzienia młodości spędzone w Polsce kapitalistycznej, doszli do pozycji działaczy politycznych Polski Ludowej, to książki, które wstrząsają swoją żarliwością i pasją, książki, które czytając, „jednym tchem”. Mimo pozornej jednolitości formy pamiętnika, „jaka reprezentacja, zadziwiająco różnorodność ujęć. I tak przykładowo: książka Feliksa to pamiętnik — biografia, to dzieje życia jednego tylko robotnika ukazane na tle metod „pracy i zarobkowania” kapitalisty, to zapisane we wspomnieniu, w przeżyciu robotnika dwa bieguny kapitalistycznego świata, pamiętnik Bobruka natomiast obejmuje materiał szerszy, są to dzieje już nie jednostki, ale pewnej zbiorowości, jaką jest rodzina autora. Równoległe prowadzono losy poszczególnych członków tej rodziny, ze szczególnym mocnym uwzględnieniem ciężkiego życia matki autora (postaci, która w wielu rysach przypomina postać Niłówny z „Matki” Gorkiego) — stwarzając zwarta całość konstrukcyjną o niezwykle głębokiej sile oddziaływania.

„Życie za dniówkę”, to zbeletryzowany, nasycony bogatym doświadczeniem życiorys jednego z wielu proletarijczyków w burżuazyjnych statystykach, jako częstecka owych 6-ciu milionów „zbędnych rąk robotniczych” w rolnictwie, życiorys, który poprzez swój silny związek z nurtem historii staje się zwierciadłem czasu. Poprzez niezmiernie rzeczowy, prawie wyłącznie relacyjny tok opowiadania, nieopuszczający żadnych wtrętów uczuciowych, przediera się nieformulowany wręcz, a zrodzony poprzez wymowę rzeczywistości opisywanej krzyk protestu, który nasycał atmosferę tych lat, lat „głodu, kryzysu, faszyzmu”. Pamiętnik Felisa przy zachowaniu swego „osobistego”, jednostkowego charakteru „wspomnień” należy do historii. Wierne oddaje oblicze wielkich historycznych procesów zachodzących w latach 20-tych i 30-tych naszego wieku. U samego początku pamiętnika stajemy wobec masowej ruiny drobnych gospodarstw chłopów, którzy w szczególności wielkich rolniarach wystąpiła w latach 20-tych i w wyniku, której poszerzała się szeregi proletariatu. W dalszej części obserwujemy namacalnie niejako — poprzez opis egzystencji bohatera — zaostanie się ogólnego kryzysu kapitalizmu z jego nieustannym bezrobociem i nieustannym obniżaniem się stopy życiowej szerokiej mas robotniczych i chłopów. Rewolucyjna świadomość proletarijczyków biedniaka Felisa, nie docierającego do większych środowisk robotniczych, skazanego na sezonową pracę najgorzej opłacaną, narastać będzie bardzo powoli, bo nie poprzez zetknięcie się z ruchem robotniczym, ale drogą własnych obserwacji, własnych coraz częstszych doświadczeń, wśród których szczególnie znaczące rysują się lata 1931—35, lata masowych „redukcyj”, masowego bezrobocia i nędzy. Lata te na fali strajków i wieców protestacyjnych



Przedownik pracy, Józefczyk Kazimierz — Nowa Huta

przyniosły wzmocnienie bojowej świadomości klasy robotniczej, przyniosły przeświadczenie sformułowane w pamiętniku Felisa, że „coś tu nie w porządku”, skoro „fabryki włókiennicze stoją nieczynne, lub pracują dwa dni w tygodniu, gdy tymczasem ja chodzę w podartym ubraniu i setki tysięcy dzieci robotniczych i chłopów posiada po jednej podartej koszulce. Podciąg chodzą puste, a wzdłuż toru maszerują dziesiątki ludzi od miasta do miasta. Siedzą tutaj głodni i tysiące takich jak ja cierpi głód, gdy tymczasem żywność niszczy się masowo”. Poprzez wędrowną bezdomnych „rajerów”, poszukujących pracy i chleba, poprzez ich ciężkie doświadczenia widzimy w pamiętniku Felisa proces organizowania się robotników w związki zawodowe dla obrony interesów robotnika. Autor „Życia za dniówkę” doprowadza nas więc w swym pamiętniku tylko do momentu dojścia do pozycji rewolucyjnego ruchu robotniczego, pokazuje, jak długa była ta droga. Nie pokazuje jej ciągu dalszego, wiodącego do podziemnej KPP, do konfliktów ze Związkiem Radzieckim, ale jednocześnie do więzień i karcerów, co wypełniło karty pamiętnika Bobruka. Sens doświadczeń zdobytych w ciężkiej pracy kamieniarza, pracy najbardziej wykorzystywanej, a jedynej, jaką można było zdobyć w latach kryzysu, oraz doświadczeń bezrobotnego, niepotrzebnego nikomu człowieka kapitalistycznej Polski zamknął autor w zakończeniu swego pamiętnika pisząc we wrześniu 1939 r., pod wrażeniem zdrady narodu przez władze sanacji: „Dla takich jak ja nie było pracy, wyrzucano nas z roboty. Za to bezpiecznie pracowali szpiecy i dywersanci niemieccy. Zrozumiałem...”. Wydane przez PIW „Wspomnienia robotników” pokazują jak rozmaitymi drogami szło owo „rozumienie” sensu i konieczności walki. U tych, co wiodą „Życie za dniówkę” zmuszeni byli w poszukiwaniu pracy przemierzać pieszko coraz nowe pola kraju, co rzadko znajdowali czas i warunki na przeczytanie gazety, a jeszcze rzadziej książki, dokonywało się ono, jak o tym mówią wspomnienia Felisa o poronie — ale nieodwołalnie. Wstrząsają i na długo zostają w pamięci obrazy straszliwej nędzy, w jakiej żyli wyrobni wiejszy i robotnicy. Zła, nieludzka zmora wydaje się nam dziś to beznadziejne życie, obarczone jedną troską, troską o zdobycie kawałka chleba, o utrzymanie się przy życiu. Podziwiamy i szanujemy głęboką wiarę i wytrwałość ludzi, którzy mieli odwagę walczyć ze zorganizowanym zlem kapitalistycznego świata, którzy potrafili w tamtych czasach myśleć o „nowym”, i walczyć o nie. Uczyliśmy się od nich wytrwałości i hartu woli. Przekonywaliśmy, pełna życiowej prawdy jest postać „dobrotliwego”, „kapitalisty i obszarnika w jednej osobie”, który pod maską serdeczności reprezentuje najbardziej drapieżne i nieludzkie formy wyzysku, od obniżania „dniówek” poczynając, poprzez zwiększanie godzin pracy i okropne warunki higieniczne aż po wyrzucanie na bruk i pozabawianie rodzin robotniczych środków do życia. Piękne i głębokie ludzkie są te partie pamiętnika, w których widzimy gniew i oburzenie na widok potwornych upokorzeń na jakie skazywany jest człowiek w ustroju kapitalistycznym, człowiek, który jak o łaskę prosił musi o pracę. Całość zawartego w pamiętniku materiału daje żarliwą, konkretną wiedzę o ciężkiej doli proletariackiego dziecka, którego droga do życia wiedzie nie poprzez szkołę, ale poprzez najczarniejszą pracę w kamieniołomach, poprzez upokorzenia i krzywdy doznawane na każdym kroku, do rewolucyjnej walki o inne, lepsze życie. Sądzę, że obfite wyniki konkursu na „Wspomnienia robotników”, w ramach którego powstała książka Tadeusza Felisa, winny być w szerzej, niż dotychczas mierze udostępnione czytelnikom.

Irena Matysiak

*) T. Felis. „Życie za dniówkę”. PIW, 1952.

**) M. Zmigrodzka. Wstęp do biografii biedniaka. „Wiś” 1951.

LUDWIK MAJ

Rozważania o spółdzielczości produkcyjnej

W NASZEJ gminie Bystra gorąco dyskutuje się sprawę spółdzielczości produkcyjnej. W jednej tylko gromadzie, w której odbywają się omawiane zebrania, od 1918 r. do 1938 powstało 314 nowych gospodarstw rol-



Foto J. K. Maciejewski

nych z 410, których łączny areal ziemi ornej wynosił około 2.600 ha (wzecie pod uwagę, że w tym mieści się 10 proc. gospodarstw „kmiśkich” ponad 15 ha ornego jedno), a w całej nagiej prawdzie, ujrzymy widmo katastrofy, której uniknęła wiesz tylko dzięki zwycięstwu władzy robotniczo-chłopskiej. Milczenie na sali nie trwało długo, bo widmo przeszłości dzisiaj już nie przesłania chłopstwu pracującemu drogi wyzwolenia. Wszak wraz z ujęciem władzy ludowej przez robotników i chłopstwo — wstrzymane zostało dalsze rozdrobnienie gospodarstw (dzięki odzyskaniu ziemi, reformie rolnej, budującemu się przemysłowi i szkolnictwu) tak, że dzisiaj proces samorodnego łączenia gospodarstw rolnych jest naturalny, gdyż wyjeżdżające rodziny oddają w całości pozostałym w użytkowanie.

Ale czy na przykład w systemie indywidualnej gospodarki sprawa kobiety wiejskiej jest rozwiązana? Nie. Życia kobiety nie rozwiązuje jeszcze w całości dostateczna ilość żywności w szpiarni ani to, że dzieci są dostatecznie ubrane, gdyż ciężka harówka kobiet wiejskich w

dalszym ciągu pozostaje nierozwiązana w gospodarstwie indywidualnym. Ani urlop macierzyński, ani odpoczynku i tak przez całe lata. A przecież w systemie spółdzielczym zbudowanie przedszkoli i żłobków nie przedstawia żadnej trudności, są one bowiem częścią składową spółdzielczej formy życia i pracy, a w wiosce o gospodarce indywidualnej budowanie przedszkoli i żłobków napotyka na wiele trudności. I praca w spółdzielni przydzielona na jednym odcinku (maszynami wykonywana cięższa praca) daje kobiecie więcej czasu na życie rodzinne, kulturalne i samokształcenie.

Tak samo sprawa młodzieży wiejskiej nie może być całkowicie rozwiązana w systemie indywidualnym. Bo stałe uwiązanie młodzieży do „krótkich ogonów” może dopiero zniknąć po przebudowie ustroju rolnego. W naszej wiosce jest około 700 rodzin, każda posiada krowę czy więcej, każda rodzina musi mieć pasterza. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni 700 chłopów i dziewcząt ugania się codziennie za bydłem, co odbija się ujemnie na frekwencji w szkole i wynikach egzaminacyjnych. Nie licząc tu już tej dzieciarni, która ugania za gęsiami lub bawi młodszego rodzeństwa, ani setek dni pracy zmarnowanych przez dorosłych, pasących krowy w zastępstwie dzieci.

A przecież spółdzielczość produkcyjna uwolni młodzież od bydła, gdyż zespołowo pasione bydło na wspólnym pastwisku obniży ilość pasterzy do minimum.

„Wychowawczy” wpływ wioski podhalańskiej, pociętej na szachownicę pól i poletek — katastrofalny. Nie ma rodziny we wsi, która by nie miała sporów o między, o granice, o szkody wyrządzone. I stąd ciągle kłótnie, zwady, bijatyki, procesy na oczach dzieci, które od mała podsłuchują i wprawiają się do zwad.

A ileż kosztują pracujących chłopów te procesy i komisje. Mogłoby przytoczyć dziesiątki przykładów z jednej tylko wioski, gdzie rodziny całkowicie poszły na działy z powodu zatargów granicznych.

Stają a gwałtowny wzrost przemysłu, wchłania coraz więcej zbe-

nych chłopów na wsi, cyfra ta podnosi się szybko do góry — i tak będzie dalej. Z tego powodu przed pracującą wsią staje nowy problem, który wymaga przygotowania prawidłowego w naszym ustroju jeśli chłop nie chce być zaskoczony brakiem sił roboczych w rolnictwie w starym systemie. Bo jest tak: małorolny chłop jedzie do pracy w Nowej Hucie, pracując, co jakiś czas przyjeżdża do rodziny i przywozi zarobek, który żona w części zużywa jako opłatę za pracę połączoną w rolnictwie. Wczorajszy chłop, dzisiejszy budowniczy Nowej Huty, liczy i kalkuluje, zastanawia się, Ma 1,30 ha ornego gruntu w 29 kawałkach, od domu najdalszy o 6 km. Zaoranie tego arealu kosztuje 12 dni jednokonnym, wywóz nawozu 3 dni, obróbka ziemniaków 2 dni, do tego ciężki wkład pracy, bo na małym poletku tylko ręczna morderga. Przejazdy za kawałka na kawałek pochłaniają wiele czasu. Stąd taka duża ilość dni roboczych. Tak gospodarzyć — rozumie — za drogą dzisiaj, co innego przed wojną, wtedy musiało się. Teraz bierze żonę z dziećmi na stałe do Nowej Huty, a gospodarstwo oddaje krewnemu. Takich chłopów (matematyków) coraz to więcej. A ci, co pozostają na wsi, też obliczają — i wynik otrzymuje taki: aby gospodarstwo rolne dawało większą korzyść przy mniejszym zapotrzebowaniu sił do pracy — potrzeba ssać do kupy poletka pod maszynę, które prędzej i lepiej zrobią, pod zmniejszoną ilość dojazdów, pod wielkopowolny płodozmiar, a wtedy koszt pracy będzie tańszy, a dochód większy.

A jeszcze inne sprawy wiążą się z przebudową ustroju rolnego. Przez pole orne, poszatkowane w poletka, biega drogi, po których pędzi się było na pastwisko. Tych dróg pełno, wielu właścicieli więc i dróg dużo. Krowy i owce wpadają w zboże, traktując, niszcząc. Celem zabezpieczenia zboża, stawia się płoty z żerdzi świerkowych, które wycina się w lesie. Pobieżne obliczenia wykazują, że w jednej tylko naszej gromadzie każde gospodarstwo wycina w tym celu co najmniej 10 sztuk świerków (są tacy, co i 30 lub więcej). Policzyć — 700

gospodarstw czyni co najmniej 7.000 sztuk rocznie — można nie przesadzać i liczyć 14.000 rocznie, a w skali gminnej na 2.000 gospodarstw? Lepiej nie liczyć, zdestawowane lasy świadczą o nieprzemysłanej gospodarce — takie jest marnotrawstwo indywidualnego rolnictwa.

Headowie bydła i owiec, odpowiednie zagospodarowanie pastwisk, też można podnieść o 100 proc. i więcej przy pomocy naukowych osiągnięć, lecz ten przedmiot jak i wiele innych przesyła mnie nie połączony, albo niedostatecznie omówionych, pozostawiam bardziej odpowiedzialnym, znającym dokładnie te sprawy, by na łamach „Wiś” rozpoczął szerszą dyskusję na temat spółdzielczości w rolnictwie na Podhalu, by fachowcy i chłopowie wypowiedzieli się czy nie wskazane byłoby przy prezydiach rad narodowych powołać odpowiednie komisje, które by kierowały i pomagały nam w budownictwie socjalizmu na wsi. Takie komisje życiowo dostosowałyby materiał odpowiedni do regionu dla walczącej wsi.



Foto J. K. Maciejewski

Sprawa, o którą walka toczy się na wsi jest wielka, toteż wielki zasób wiedzy potrzeba mieć, by zwycięstwo przybliżyć.

Ludwik Maj

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Bohater — kolektyw — publicystyka

BOHATER A KOLEKTYW

LOS komsomolca Aloszy w głosnej powieści H. Nikołajewej „Zniu” pobudził czytelników radzieckich do żarliwej dyskusji. W centrum sprzecznych opinii stało zagadnienie o literaturze radzieckiej, o jej aktualności: obowiązkiem człowieka radzieckiego, o fakcie, że czytelników radzieckich jak najżywiej interesują sprawy komunistycznej etyki, ich ujęcie literackie. Ale co to znaczy obowiązek w rozumieniu komunisty, gdzie biegnie granica między potrzebą bohaterstwa a zbędną ofiarnością — oto pasjonujące pytania, na które próbował odpowiedzieć czytelnicy a wreszcie sama autorka.

Pamiętamy, że w powieści Nikołajewej Aloszy ginie ratując hektar pszenicy; konieczność zebrania pszenicy przed burzą opóźnia pójście chorego bohatera do szpitala; Alosza wypełnia swój obowiązek, ale lekarze nie mogą go uratować; chłopiec ginie. W sporze zarysowały się dwa stanowiska. Według opinii niektórych czytelników autorka popełniła błąd, nie odróżniając bohaterstwa od zbędnej ofiarności. Komunistom — utrzymywali ci czytelnicy — potrzebni są ludzie bohaterscy, walczący i ginący w imię wielkich spraw, ale nie „ofiarnicy” z racji me- trę pszenicy. Inni czytelnicy nie zgodzili się z taką krytyką. Odpowiedzieli listem, w którym m. in. czytamy, że wobec tego — zdaniem opinii — każdy człowiek radziecki zanim wypełni obowiązek społeczny, powinien najpierw obliczyć wszystkie okoliczności, zważyć, czy warto ryzykować zaczęciem pracy i czy wypełnienie obowiązku nie jest połączone z niebezpieczeństwem dla życia. Przypuścimy, że takie stanowisko jest słuszne i założymy na chwilę, że wszyscy ludzie radzieccy będą się kierowali takim prawem: kolchoźnicy przy tej pogodzie nie będą się zajmować siewem, gdyż można się przeziębic; szlusz-monter nie naprawi uszkodzeń w fabryce po swoich godzinach, gdyż można, ponoć, przemęczyć się i zachorować; strażnik nie wejdzie do domu objętego pożarem itd. itd. Co wtedy będzie? Czytelnicy w licznych listach wspominają Zoję Kosmodemiańską, Aleksandra Matrosowa, Nikołaja Ostrowskiego i bohatera jego powieści, Pawła Korczagina. Uważają, że te postępiaki są typowe dla ludzi radzieckich i obowiązują nadal. Akceptują postępowanie Aloszy ze „Zniu”.

Do dyskusji wdała się wreszcie autorka. W liście opublikowanym w „Literaturnej Gazecie” wyjaśniła swoje intencje — i na marginesie całej sprawy — opinię o stosunkach między bohaterem a kolektywem.

„Alosza — pisze Nikołajewa — którego chciałam obdarzyć cechami wspaniałej młodości radzieckiej, bynajmniej nie ma zamiaru poświęcić życia dla uratowania pszenicy... Alosza po prostu organicznie nie może patrzeć na to, jak ginie kolchoźnicze dobro. Dlatego kieruje nim jak najbardziej bezpośrednia pobudka — uratować pszenicę. Nieszczęście tkwi w tym, że nie docenia powagi swej choroby, co często cechuje bardzo

młodych ludzi, nie nawykłych do cackania się z sobą i porwanych robotą”. Autorka nie dostrzega w czynności Aloszy bohaterstwa, jedynie głębokie oddanie się pracy.

Na temat stosunków między bohaterem a kolektywem Nikołajewa pisze: „Jeśli przypomnimy sobie literaturę przedrewolucyjną, to tutaj stosunki między bohaterem a społeczeństwem były wrogie i antagonistyczne (Oniegin, Piecorin, Bazarow). Na nowych zasadach powstają stosunki między bohaterem a kolektywem w społeczeństwie socjalistycznym”. W radzieckim kraju człowiek stanowi cenną część zorganizowanego kolektywu. Im bardziej będziemy zbliżali się do komunizmu — utrzymuje Nikołajewa — tym pełniejsza będzie łączność między człowiekiem a kolektywem, tym głębsza będzie odpowiedzialność każdego członka kolektywu za los całego i odpowiedzialność kolektywu za los jednostki. Ale te stosunki między człowiekiem a kolektywem możliwe są jedynie przy wysokim poziomie świadomości, przy wysokim wyrobieniu moralnym ludzi. Tymczasem nowe ciągle jeszcze walczą z resztkami starego. „Jeśli rozejrzemy się dookoła — czytuję dosłownie Nikołajewa — to zobaczymy i takie fakty, kiedy ludzie wartościowi, wybitni, porwani pracą zapominają o sobie i po prostu „spalają się w robotcie”. A obok są ludzie, żyjący wedle zasady „koszula bliższa ciału”, „pilnują własnego zdrowia”, ludzie którzy usiłują chytrze żyć w dobrobycie i prosperować jak najlepiej. Takie fakty — ciągnie dalej pisarka — nie są oczywiście typowe dla naszego kraju, ale zdarzają się. Chcemy, żeby ich nie było, a one niestety, są”.

Nikołajewa odrzuca spóźnioną propozycję, aby w powieści uratować Aloszę. Komsomolec ginie porwany pracą, odpowiadając za błąd kolektywu. To nie jest przypadek. Autorka „Zniu” postawiła sobie za cel: „w sposób możliwie jak najbardziej wyraźny i ostry postawić zagadnienie odpowiedzialności kolektywu za jednostkę i na odwrót”. „Ukazuję życie — pisze Nikołajewa — w ostrych stacjach i sytuacjach, ponieważ wydaje mi się, że przy takiej metodzie przedstawiania rzeczywistości jak najwyraźniej występuje dialektyka procesu wzrastania oraz rozwoju człowieka i zaznaczają się wyraziście wzajemne stosunki walczących sił”.

Zagadnienie bohatera (pozytywnego i negatywnego) oświetla wystąpienie laureata Nagrody Stalinowskiej W. Łacisa p. t. „Notatki pisarza” (Literaturnaja Gazeta). W. Łacis potwierdza ogólny sąd krytyki, że pozytywny bohater wypadł dość słabo, tymczasem stworzenie typu pozytywnego stanowi główne zadanie literatury komunizmu. „Żeby wypełnić to szlachetne zadanie — stwierdza W. Łacis — pisarz radziecki powinien doskonale znać swój nowy radziecki świat, nowego radzieckiego człowieka, a co najważniejsze, powinien widzieć jego zmiany w trakcie walki o lepsze”. W. Łacis nawołuje pisarzy do silniejszego powiązania się z rzeczywistością radziecką.

W. Łacis uważa, że typ ujemny nie zawsze musi być zdecydowanym wrogiem. Bohater negatywny to także członek radzieckiej społeczności, uformowany w nowych warunkach, ale noszący w sobie jeszcze pozostałości psychiki kapitalistycznej. Łacis protestuje przeciwko manierze niektórych krytyków, którzy uważają, że bohater pozytywny nie posiadający skaz, jest „nieżyłowy, papierowy, wymyślony”. Tacy krytycy i recenzenci swymi radami „pęchają pisarza na niewłaściwą drogę”. Pisarz chce zadośćuczynić wymogom krytyki — utrzymuje autor „Ku drugiemu brzegowi — obdarza swego pozytywnego bohatera jakąś ujemną cechą, czyli postaci skłócenie doskonałej przydatności porcję zepsucia. Łacis broni prawa pisarza do przedstawiania bohatera pozytywnego jako typu idealnie doskonałego. Bo i tacy bywają w życiu — kończy znakomity laureat.

CZY W POWIEŚCI MOŻE WYSTĘPOWAC PUBLICYSTYKA?

To zagadnienie podejmuje również W. Łacis w wymienionym wyżej artykule. W recenzjach spotyka się często nagany w rodzaju: „styl utwórny fragmentami grzeszy publicystyką” albo „obok stronice napisanych sugestywnym językiem artystycznym, zdarzają się miejsca, tracące gazetę”. Takie opinie krytyków w stosunku do książek prozaików suponują pośledność, druzgocność stylu, opartego na publicystyce. W. Łacis protestuje przeciw takim zarzutom. Publicystyczne ujęcie — utrzymuje — są tak samo dopuszczalne w literaturze (w powieści) jak np. liryczne. Środki dobrej, prawdziwej publicystyki pozwalają rozwiązywać jasno zagadnienia treści powieści i podać bezbłędnie myśli. Oczywiście nie należy chwytu publicystycznego nadużywać. Tutaj doradczą a zarazem surowym sędzią pisarza powinien być jego własny smak. Trudno o jakieś szczególne recepty, identyczne dla każdej książki. Przed pisarzem stoi otworem cały arsenał środków artystycznych. W który z nich się uzbior — to już zależy od niego. Ale nie da się zaprzeczyć — utrzymuje W. Łacis — że dobra publicystyka wzbogaca naszą literaturę, dowodem czego jest mnóstwo znakomitych utworów literatury radzieckiej, które cieszą się ogólnym rozgosem i zostały oznaczone Nagrodą Stalinowską. Oczywiście „nie wolno — pisze W. Łacis — zamieniać powieści na publicystyczny szkic, historyczny czy filozoficzny traktat. Jeśli jednak autor poświęcił kilka stronice publicystyce, konkretnie układając te czy inne poglądy na konkretne zjawiska życia albo określając stosunek swoich bohaterów do określonej konkretnej historycznej sytuacji, do społecznego lub filozoficznego problemu, i jeśli to wymaga naukowe i ideologiczne ścisłości w sformułowaniu — powieść z tej przyczyny nie ucierpi, nie straci na wartości”.

Są sprawy i zjawiska — konstatuje W. Łacis — dla których oddania trzeba ścisłej, skąpej — publicystycznej prozy.

Grzegorz Timofiejew

JAN SKAŁSKI

TROCHĘ WRAŻEŃ Z FINAŁU

CENTRALNE eliminacje wiejskich zespołów scenicznych rozegrane w ramach Festiwalu Sztuk Polskich dostarczyły wielu cennych spostrzeżeń odnoszących się zarówno do samych zespołów, jak i repertuaru przez nie granego.

Wśród sztuk festiwalowych specjalną grupę stanowiły sztuki współczesne napisane specjalnie dla wiejskich. Szczególnie reprezentatywne są tu zwłaszcza „Zaprzęgać konia” Lachowicza, „W rodzinnym domu” Piotrowskiego i „Tama” Chałata. Znaczenie ich polega nie tylko na tym, że są to sztuki specjalnie dostosowane do wymogów teatru amatorskiego na wsi ale przede wszystkim dlatego, że tematycznie związane są ze współczesną wsią, że poruszają problem dla niej centralny, problem przebudowy gospodarczej i społecznej naszej wsi.

Sztuki te przez swe pionierstwo i przez to, że zapewniają lukę w tej dziedzinie teatru amatorskiego zasługują na życiową krytykę. Nie ulega również wątpliwości ich pozytywne oddziaływanie na widza wiejskiego. Poza tym zarówno w swych założeniach jak i niuansach tych sztuk stanowią cenne doświadczenia pisarskie, z których powinniśmy pełną garścią korzystać. Nie sposób w krótkim artykule poddać je pełnej analizie krytycznej. Postaram się jednak rzucić kilka uwag jakie mi się nasunęły.

Zagranie tych sztuk przez wiejskie zespoły było surową próbą i sprawdzianem ich realizmu i wartości artystycznych. Sztuki „W rodzinnym domu” Piotrowskiego i „Tama” Chałata odegrał zespół już istniejącej spółdzielni produkcyjnej.

W wykonaniu takich zespołów ze szczególną jasnością obnażyły się zarówno mocne jak i słabe imiona tych sztuk. Można było odróżnić te dialogi i sceny, gdzie chłopcy grali samych siebie, od dialogów i scen sztucznych, wymyślonych za pomocą gotowych schematów przez autorów. Te się od razu demaskowały. Tych aktor wiejski zagrać nie potrafili.

Obronną ręką wysłała tu sztuka Piotrowskiego „W rodzinnym domu” aczkolwiek była może najrudniejsza, z uwagi na to, że jej ciężar dramatyczny spoczywa głównie na dialogach. Sztuka ta wnikała jednak najgłębiej w aktualne stosunki wiejskie i w psychikę chłopca. Umiała powołać stare, właściwe wsi kapitalistycznej i wciąż jeszcze aktualne konflikty (spłaty i zatargi rodzinne) z zagadnieniami nowymi (sprawa spółdzielni produkcyjnej). Pokazała konflikt i rozłam w jednej rodzinie. Umiejętnie przedstawiała, jak w starej formie sporów rodzinno-majątkowych dochodzi do głosu nowa treść, nowy problem w związku z organizowaniem spółdzielni produkcyjnej.

W dwu pozostałych autorów: Lachowicza („Zaprzęgać konia”) i Chałata („Tama”) konflikt zbudowany jest raczej sztucznie i naiwnie. Te naiwność odczuł aktor chłopski i stanął wobec niej beznadziejny. Jeśli bowiem Lachowicz pokazuje kulaką głupiego, naiwnego i ohydnego już przez swój wygląd zewnętrzny i zachowanie, jeśli każe mu popełniać w sposób dziecięcy nieporadny, w biały dzień przestępstwo podpalenia, to aktor wiejski od razu postrzegł nierealność i sytuacji i postaci kulaka i zagrać z przekonaniem nie mógł.

W rezultacie kulka kulaka na scenie zostaje ośmieszona i zwyciężona, ale z rzeczywistym obrazem walki klasowej na wsi ma to niewiele wspólnego. Taka sztuka słabo uzbudzi widza do walki z rzeczywistym wrogiem. Kulka na scenie nie znajduje w świadomości ani aktora, ani widza odpowiednika w znanym mu rzeczywistości, a to jest dla autora — przegrana.

Nieumiejętność psychologicznego pogłębienia postaci prowadzi także Lachowicza jak i Chałata do takiej konstrukcji sztuki, gdzie kulak demaskuje się przez zbrodnie, przez przestępstwo. Oczywiście nie sam fakt, że kulak popełnia przestępstwo jest błędem, aczkolwiek zdemaskowanie kulaka przez przestępstwo jest już pewną ucieczką od problemu i stępią klasowe ostrze sztuki. Widz potępia bowiem kulaka w tym wypadku jako zbrodniarza, a nie jako nosiciela wrogich poglądów klasowych. Chodzi jednak przede wszystkim o to, że przestąpienie do tej zbrodni są naiwnie skonstruowane i że kulacy wychodzą tu głupsi, niż są w rzeczywistości. Jeśli zaś metody bogacza są naiwne, to i chłwiejacy się średniak, na którego oni oddziaływają nie wypadają zbyt mądrze. Stąd zwłaszcza u Lachowicza wanie średniaka budzi, nie wiem czy zaw sze zamierzony śmiech. Z dramatu wewnętrznego średniaka robi się niechęć farsa.



„Szkice węgłem” Sienkiewicza — zespół grom. Smreczyzna, pow. Bystrzyca.

Również „przelamanie się” średniaka u Chałata jako wynik zdemaskowania zbrodniczych zamiarów kulaka odbiega od typowych wzorów rzeczywistości. Średniak u Chałata przekonyuje się do spółdzielni wtedy, gdy dostaje w łeb łopatą od bogacza planującego rozkopanie tamy i zatopienie pol. Rzeczywiście biedny średniak Chałata nie ma wtedy wyjścia. Kulak „steroryzował” go do spółdzielni.

Jak zaznaczyliśmy, wpływ realizmu i wartości artystycznych sztuk miał dość zdecydowany wpływ na poziom zagrania. Wniosek nasuwa się wyraźnie. Dać aktorowi wiejskiemu jak najwięcej sztuk dobrych, a pokaże co potrafi. A potrafi dużo.

W zespole Niwki grało dwu pracowników umysłowych: nauczyciel i pracownik GRN, reszta to sami chłopcy i to chłopcy starsi — gospodarze. Z pełną satysfakcją podziwiać można było ich namietność a zarazem umiar w interpretacji sztuki Piotrowskiego. Trudna pozytywna rola ZMP-owca aktywisty została zagrana z wielką pasją i przejęciem, a przy tym zupełnie naturalnie. Aktor grający gospodarza średniaka — starszy chłop wczuł się doskonale w swoją rolę. Grał siebie. Rola jego „żony”, pochodzącej z rodziny bogaczy, grała z umiarem starsza gospodyni wiejska. Nie zgrywała się ani nie ośmieszala. Nie szarżowała. Dała portret kulaczki „godnej”, przywykłej do poważania ludzkiego, kulaczki twardej — tym więcej prawdziwej i to robiło wrażenie. W ten sposób problem walki klasowej nie został spłycony, ale postawiony na właściwym poziomie.

Podobnie poważnie zagrał zespół spółdzielni prod. Brzezina, woj. Opole. Pierwszą część sztuki miała dużo cech realizmu. Wybił się tu zwłaszcza chłop-aktor bardzo naturalny w roli średniaka.

W sztuce Lachowicza zespół wydobyl jej najcenniejszy pierwiastek — humor.

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

MARTWE KOŚCI

Jakąś to ambicję żył w swym cichym sercu prezes Gminnej Spółdzielni w Górkach Brzeziński, obywatel Atanazy Ciesiak? Od dłuższego czasu dreczyło biedaka przeświadczenie, że jego pełna, jak mniemał, poświęcenia praca, można powiedzieć pionierska na niwie spółdzielczej, nie jest należycie doceniana przez zwierzchnie władze.

Dumając podczas urzędowania na sztywnym zydli, lub spoczywając w domu na tzw. łonie rodzinnym, a ściślej mówiąc, na rozprężynowanej kanapie, tęsknił ob. Ciesiak do awansu na wyższe stanowisko i związanego z tym przeniesienia do takiego miasta, czy Piotrków, lub chociażby Sieradz, czy Kutno. Bóg świadkiem, jak gorąco tęsknił.

Ha, cóż — myślał sobie często — widocznie nie zwrócił uwagi powiatu, a co za tym idzie i województwa, bo i czym? Kontraktację, zaopatrzenie sklepów, skupię różne go rodzaju, to wszystko rzeczy bardzo, można rzec, powszednie. Tu trzeba się wykazać czymś ekstra, czego się nie dokonuje z dnia na dzień. Trzeba chwycić jakąś okazję.

Czekał ob. Ciesiak i czekał, aż tu nagle dowiaduje się, że pracownica spółdzielni, niejaka Aniela Grzebyk, wdowa, ma zamiar zachorować. Ni mniej, ni więcej, tylko chce iść do szpitala na operację nogę, bo jej, powiada, przy dużych palcach potworzyły się jakieś narośla, bulwy takie, martwe kości, które przeszkadzają w chodzeniu.

Grzebykowa jest równocześnie wózną, sprzątaczką i gońcem w biurach Spółdzielni, do czego potrzeba zdrowych nóg, więc oczywiście kuracja była konieczna. Owo wydarzenie prezes Ciesiak po cichutku zaczął sobie w głowie dokładnie rozważać.

— Pójdzie baba na taką operację, poleży za trzy miesiące, trzeba będzie na jej miejsce wziąć nową siłę i tej pięci i tamtej pięci — jakże to wielka strata i marnotrawstwo pieniędzy społecznych. Nic innego, tylko trzeba Grzebykową zwolnić.

Otoż i wybiła szczęśliwa chwila. Czyż bowiem może ktoś powiedzieć, że takie postanowienie, to nie dowód wielkiej czułości i troski o skarb państwa? A równocześnie — nie jest to właśnie owa wyjątkowa okazja, z racji której władze zwierzchnie postawią przesa za wzór do naśladowania?

Zdawało się przesyłać, że wszystko jest na dobrej drodze, a tymczasem... Wprost serce się kraje od współczucia: jak człowiek na takim stanowisku, mógł postawić tak nieopartym krokiem. Chcesz awansować, dobrze, pragniesz się wyróżnić — masz do tego święte prawo, ale co temu wszystkiemu winna wdowa Grzebykowa i jej martwe kości na nogach?

Grzebykowa napisała list do Redakcji „Towarzyski”.

Na przykładzie zespołu Niwki można zrozumieć, jak wielką rolę w wychowaniu i wykształceniu zespołu daje kontakt wsi z życiem pozagromadzkim a zwłaszcza z ośrodkami robotniczymi. Wiś Niwki jest wsią małopolską o słabej, piaszczystej glebie. Dopiero w latach powojennych otworzyła się możliwość awansu do miast i ośrodków robotniczych. Wielu chłopów znalazło zatrudnienie w ośrodkach przemysłowych Skarżyska, Starachowic i Radomia, i weszło w klasę robotniczą. Niemal z każdej rodziny co najmniej jeden człowiek dojeżdża do pracy w Skarżysku.

Wpłynęło to zdecydowanie na podniesienie świadomości i kultury Niwek. Wynikiem tego jest komitet założycielski spółdzielni składający się już z 28 członków. Wynikiem tego jest ożywienie życia świetlicowego i czytelnictwa, i wreszcie powstanie zespołu teatralnego.

Zaczęło się od akademii na 22 lipca. Inscenizacja „Zwycięstwa” przedstawiana wówczas spotkała się z gorącym przyjęciem. Dalszym krokiem było utworzenie zespołu teatralnego. „W rodzinnym domu” to pierwsza sztuka w pełnym tego słowa znaczeniu, zagrana przez zespół. Uczestnicy zespołu świadomi są swej roli społecznej. Podkreślają wpływ granej przez nich sztuki na okrzepnięcie idei spółdzielczości u nich w Niwkach. Wystąpili dopiero z pierwszą sztuką, a już widac rezultat. To daje zadowolenie i zachęca. Gra toczyła się o wielką stawkę — o spółdzielnię. Zespół nie ustawał w pracy. Wywalczył zwycięstwo na eliminacjach powiatowych, zwycięstwo w eliminacjach wojewódzkich i wreszcie, Warszawa — Zespół gra na deskach „prawdziwego” teatru.

Ten awans, nie przypadek. Jest on miarą marszu, w jakim kroczy nasza wieś.

Jan Skalski

JAN SZCZEPAŃSKI

Badania warunków życia i kultury klasy robotniczej

Z badań nad życiem i kulturą robotników została dotychczas opublikowana pierwsza część studium Czeboksarowa, przedstawiająca życie robotników moskiewskich. Badania w Moskwie przeprowadzono w dwóch wielkich i sławnych zakładach przemysłowych: Samochodowych Zakładach Imienia Stalina (ZIS) oraz w Trechgornoj Manufakturze. Badaniem objęto całokształt życia robotników rozpoczynając od pracy produkcyjnej, przy czym główną uwagę zwrócono na nowy stosunek do pracy, dalej przekształcenia w życiu społecznym i rodzinnym, wzrost dobrobytu, tworzenie się nowego, radzieckiego obrazu życia i świadomości społecznej. „Zadanie etnografów radzieckich nie polega na tym, żeby ustalić i opisać te zjawiska, lecz żeby w toku ich badania pokazać walkę nowego ze starym, walkę z przeżytkami zamierającego życia burżuazyjnego, walkę z przeżytkami kapitalizmu w świadomości ludzi”.

A więc nie prosta rejestracja faktów a zbadanie ich z punktu widzenia wykrycia walki starego i nowego, zwycięstwa tego nowego, oczywiście bez przemilczenia istniejących jeszcze niedostatków — tak można sformułować kierownicze założenia metodologiczne, które wyznaczyły pracę współpracowników Instytutu Etnograficznego w toku badania życia i kultury rosyjskich robotników.

Rozpoczęto prace od zbadania życia na terenie fabryki, od zbadania pracy produkcyjnej. „Etnografowie z konieczności nie mogą pominąć życia produkcyjnego robotników, chociaż nie interesuje ich technologiczna strona produkcji, lecz jej treść społeczna i ideologiczna, ponieważ w procesie produkcji powstają nowe socjalistyczne stosunki między ludźmi”. Opublikowana dotychczas część pracy Czeboksarowa daje opis warunkom i organizacji pracy w fabrykach i stosunków produkcyjnych w szerokim znaczeniu tego słowa.

Warunki pracy w epoce radzieckiej uległy zasadniczej zmianie, Oś-

miogodzinny dzień pracy stał się niewzruszonym prawem. Praca w zakładach przebiega w trzech zmianach, przy czym zmiana nocna pracuje tylko 7 godzin. Przerwy pozwalają na spożycie posiłków w stołówkach fabryk. W Zakładach Stalina istnieje 21 stołówek i 46 bufetów. Zapewniono wszelkie warunki higieniczne: natryski, szafy dla ubrań, ubrania robocze. W halach montażowych ZIS robotnicy pracują w białych płaszczach.

Istnieje również wysoko zorganizowana sieć punktów zdrowia i obsługa lekarska. ZIS posiada 5 profilaktoriów typu sanatoryjnego, centralną poliklinikę zatrudniającą stu lekarzy i szpital fabryczny posiadający 110 łóżek. Urządzenia wewnętrzne, przebudowy i nowe wyposażenie techniczne zapewniają bezpieczeństwo i rytmiczność pracy.

Podstawową komórką życia produkcyjnego i podstawową jednostką organizacyjną socjalistycznego przedsiębiorstwa jest brigada. Liczebność brigad waha się w zależności od rodzaju wykonywanej pracy i od poziomu kwalifikacji jej członków, wynosząc od 3 do 8 członków. Stosunki wewnątrz brigady opierają się na koleżeństwie i wzajemnej pomocy. Szczególnie ważna jest rola przywódcy. Brigada jest jednostką ściśle zespoloną z całością zakładów i mającą na oku zawsze interes całego zakładu. Rola brigady występuje szczególnie w współzawodnictwie pracy. Współzawodnictwo pracy jest ruchem masowym, obejmującym na terenie Trechgornoj Manufaktury 90 proc., a na terenie Zakładów Im. Stalina 97 proc. załogi. Ten masowy ruch dla przekształcenia planów jest najbardziej charakterystyczną cechą życia robotników w fabryce. „Szturmowców (udarników) przekraczających plan do 30 proc. jest na terenie ZIS 19 proc. załogi, natomiast przedowników pracy, przekraczających wykonanie planu produkcji ponad 30 proc. jest na terenie Ma-

nufaktury 50 proc. a w ZIS 59 proc. załogi.

Ruch stachanowski przybiera różne konkretne formy. Na wezwanie Aleksandra Czutkicha powstały i rozszerzyły się masowo brygady najwyższej jakości, dające wyłącznie produkcję najlepszego gatunku. Maria Wolkowa rozpoczęła ruch wielowarsztatowy, pociągając masy robotników i robotnic do obsługi wielu maszyn. Włodzimierz Woroszin zapoczątkował masowy ruch podniesienia kultury produkcji; Lidia Korabielnikowa zainicjowała kompleksowe oszczędzanie surowca i materiałów. Wszystkie te inicjatywy znajdowały na terenie badanych fabryk masowy odzew. Szczególnie ważną formą tego ruchu jest ruch racjonalizatorski, cieszący się specjalną opieką. W r. 1949 w ZIS zgłoszono około 11.000 pomysłów racjonalizatorskich, z czego przyjęto 4200, a do produkcji wprowadzono 3200. Istnieją organizacje, kluby i gabinety racjonalizatorskie, organizujące konferencje inżynierów, techników i robotników, oraz stałe konsultacje. Biblioteka techniczna w fabryce liczy 300.000 tysięcy tomów. Istnieją również oddziały eksperymetalne fabryki, gdzie racjonalizatorzy mogą sami wypróbować swoje wynalazki. Na specjalną uwagę zasługują pracownice artystyczne w Trechgornoj, gdzie pracuje liczny sztab artystów, specjalistów, znawców sztuki ludowej itp.

Osobny rozdział opisu zajmuje przedstawienie szkolenia nowych i młodych kadr. Przybiera ono różne formy: szkoły, kursy, szkolenie indywidualne w oddziałach fabryki, szkoły stachanowskie, Technikum wieczorowe i szkolenie zawodowe jest jakby tylko częścią pracy wychowawczej. Obok idzie praca polityczna i wychowawcza organizacji partyjnej i organizacji komsomolskich. W samych ZIS istnieje 564 brigad komsomolskich.

Jan Szczepański

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 721-86 Tel. Redakcji 751-80 do wewnątrz 61, 63
REDAKCJA NIE ZAMOWIOWYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6932-110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wiś”.

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-17237

Bronisław Chęciński